



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 7 czerwca 1953 r.

Nr 23 (167) Rok IV

Od książki po lepsze jutro

Naprzeciw pomnika Mickiewicza, który świecił od porannego deszczu, w Ministerstwie Kultury i Sztuki odbywał się zjazd przewodników czytelnictwa. W sali zasięśli ci, którzy kierowali zespółami głośniego czytania, wypożyczali książki, doradzali, zachęcali do lektury, szerzyli oświatę i uczyli piękna. Między młodymi w koszulach ZMP, i'ez oszronionych czupryn, spieczonych od słońca, wstętych twarzy. I'ez w nich Polski, tej zadzierzistej, śmiałej, na własną rękę rozmazujących światło, po odległych wioskach. Złoty, wielka odprawia partyzantów kultury.

W prezydium obok delegatów terenowych i przedstawicieli Ministerstwa zasięśli poa portretem Bolesława Bieruta ulozonym z ktosow — pisarzy: Iwaszkiewicz, Jastrun, Olcha, Strujkowski, Wilczek i Bartelski. Do nich zwracają się z zadaniami przewodnicy czytelnictwa, opowiadając o swoich kłopotach i zdobyczach. Serdecznie dziękują za książki i proszą o nowe, których tematykę sami próbują podsunąć; wieś, nowa inteligencja na wsi, popularyzacja zagadnień agrarnych, spółdzielczość...

Słusz Jan Klich spod Wrocławia mówi tużdo. „Jest takie małżeństwo, co się nikogo nie boi, nawet kija... W niejednym domu znajduje schronienie, przy stole tę parę sadząca. To: alkohol i ciemnota! Na nich tylko książka skutkuje. Ale choć w niej mądrość wszelaka, choć powie ci jak jedną ręką sto ton dźwignąć, jak z roli plon podwoić, zapozna cię z tajemkami wszechświata i nauczy, żebyś nie pracował w pocie czoła, to ona sama do ciebie nie przyjdzie bo nie ma nóg! Musisz ty pójść po nią i drugiego sprrowadzić. Zauważ, że się tak właśnie urodziłem, że dziś jestem stary, kiedy wreszcie można chłopu...“ Ale zaraz mu drugi starzec odpowiadał: „Nie urodziłście się za późno, jeśli bodaj przez jeden dzień zdążyliście przyłożyć rękę do budowy nowego domu, jeśli dotarliście tu swoją cegielką...”

„U nas na Mazurach książka jest oknem na Polskę — opowiada, nauczycielka ze Stawigud, Sadtowska — jeżeli moi” czytelnikom książki nie przyniosę, to „szużdz”, trzeba im książek o Warmii i Mazurach, a dużą czonką drukowanych i żeby w nich bohaterowie nie mówili z wysoka...”

Marysia Dmytruk z Bystrzycy Kłodzkiej dopowiadała się o powieści o kobietach, o rodzinie, o szczęściu

„Przyszliśmy na Śląsk, między tych Hanysów, a tak mało o nich wiemy — wykładał Jan Ciciół z Opola — trzeba nowych książek o narodzie, żebyśmy się nauczyli wzajemnego szacunku a to można tylko poprzez pracę uzyskać”.

W ostatnich trzech latach dokonano się gwałtowne przegrupowanie, usunąć się na plan drugi czytelnik ze środowiska mieszczańskiego, inteligent miejski, a pojawił się czytelnik masowy, dla którego nie istnieje hierarchia literacka, który ma własne gusta i potrzeby. Żąda żeby książki uczyły i żeby była ciekawa. No, i żeby była pisana z sercem.

Trafnie to powtarzające się życzenie ujął Jan Rybczuk z ziemi przemyskiej. Spiewnym głosem prosił: „Z waszych książek mamy pokarm, ale gotujcie go tak, pisarze, przyprawiajcie, żeby nie tylko pożywny był, ale i nam przypadł do smaku... Żebyśmy byli i syci i zadowoleni!”

Na pamiątkę zjazdu, prócz książek z dedykacjami autorów, dostali przewodnicy nagrody: dziewczyna, która z książkami zdeptała cały powiat — otrzymała rower. Chłopcy za głośnie czytanie — paterfony, starzy — uczasy w wybranym przez siebie uzdrowisku, a góral, który zalił się, że nie zdążył się Warszawie napatrzeć, przelot nad stolicą u samolocie.

Spełniło się marzenie Mickiewicza, książka trafia pod strzechy wraz z elektryfikacją i traktorem. Od zamkniętych dotąd dla chłopów bogactw naszej kultury książka wytycza drogę do socjalizmu i dlatego — jak stwierdził sekretarz ZSCh Kamińska — „Krzekotowice, wioska, gdzie wszyscy korzystają z biblioteki, powiat Gostyni, skąd naszto dwa i pół tysiąca odpowiedzi na ankietę o książkach nie tylko przodują w oświacie, ale i w rolnictwie, w dostawach, dla państwa, w kontratacjach... Tak poprzez książkę w ręku chłopca wiedzie droga do wiedzy, do kultury, do zobowiązań i spółdzielczości, do lepszego życia, które przed nim otwiera Polska Ludowa.

Wojciech Zukrowski

JERZY PUTRAMENT

Tworzyć — to znaczy wybierać

PARĘ PRZYKŁADÓW

Młody i bardzo ciekawy pisarz radziecki, Sergiej Antonow, opowiadanie pt. „Siota” (polski przekład w „Nowej Kulturze”) kończy opisem ojazdu z budowy mostu starzejacej się sekretarki, która całe życie pracowała z odwołaniem poprzednio, niedołężnym kierownikiem budowy. Kierownik ten ściągają do pracy w jakimś urzędzie moskiewskim, gdzie oczywiście życie jest wygodniejsze i łatwiejsze. Tymczasem ona zażyła zasmakować w nowym stylu pracy na budowie. Towarzysze z budowy przyszli ją odprowadzać na stację. Gdy pociąg ruszył — kończy Antonow — wydało się jej, że to ona stoi na miejscu, odprowadzający zaś posuwają się gdzieś naprzód.

W „Cichym Donie” jest taka scena: szwadron Kozaków ma bronić Pałacu Zimowego w Piotrogradzie przed bolszewickim powstaniem. Oficerowie szwadronu nienawidzą bolszewików, szeregowi Kozacy wahają się, woleliby nie brać udziału w tej akcji, wrócić do domu. Wśród oficerów szwadronu jest jeden przyzwitoj, lubiący Kozaków, lgnący do nich, w ogóle nastrojony demokratycznie. W przeddzień wybuchu powstania szwadron buntuje się i odchodzi z Pałacu. Oficerowie zostają. Kozacy byli już na środku placu przed Pałacem, gdy z tyłu wyskoczył ów przyzwitoj oficer i chciał się do nich dołączyć. Wtedy pada samotny strzał, i ten spóźniony ginie. Zabili go jego towarzysze broni, oficerowie. Właśnie tego i tylko tego.

Czytając „Lalkę” niesposób nie zwrócić uwagi na pewną cechę charakterystyczną wątku Izabeli Łęckiej i Wokulskiego. Wokulski jest zamożny, energiczny, silny, mądry, ludzki, przystojny. Łęcka jest wprawdzie ładna, ale poza tym głupia, niedobra, rozpuszczona. A przecież Wokulski jest pod całkowitym jej urokiem, robi wszystko, co tamta zechce, największym jego pragnieniem jest połączyć się z nią dogonnymi więzami małżeńskimi.

W „Zorany Ugorze” Szolochow ukazuje trzy postaci komunistów w stancji. Nagulnow ma cały szereg niewątpliwych zalet, jest gorącym oddanym sprawie rewolucji światowej, śmiertelnie nienawidzi wroga klasowego, ale... Jakże przeciwstawne mu zalety i wady posiada drugi komunist staniczny, Razmiotnow! I jak ciekawie wkomponowany między tych dwóch jest trzeci, wysłany do stancji przez partię, robotnik Dawydow!

METAFORA TEMATYCZNA I SPRAWY WAŻNIEJSZE

Poprzedzamy na tych przykładach, choć można by je dowolnie mnożyć. Przejdźmy do nietrudnego ich rozszyfrowania.

Wszystkie one mają ukazać pewną specyficzną cechę literatury w ogóle, prozy fabularnej w szczególności. Cechę bardzo prostą, oczywistą, w zasadzie znaną wszystkim i samą przez się zrozumiałą, która jednak na skutek błędów, spłyceń i niechlujstwa niektórych naszych krytyków zesłała z pola widzenia wielu literatów.

Wszystkie powyższe przykłady mają udowodnić możliwość takiego doboru obrazów, postaci, wątków, takiego ich zestawienia, że oprócz swego bezpośredniego znaczenia będą one wyrażały treści inne, głębsze, a przynajmniej ogólniejsze.

Jaki sens ogólniejszy ma zakończenie „Słoty” Antonowa. Autor chce powiedzieć, że bohaterka nie ma racji, idzie złą drogą, hamuje swój rozwój, cofa się — i dlatego kończy opowiadanie opisem złudzenia optycznego, któremu ona ulega. W płaszczyźnie fabularnej? Złudzenie to jest z grubsza uzasadnione: każdemu z nas się zdawało, że pociąg stoi, a drzewa za oknem wagonu uciekają (co prawda do tyłu). Ale przecież chodzi tu nie o sens dosłowny, a o metaforyczny!

Przykład z „Cichego Donu” reprezentuje wyższą kategorię tego samego zjawiska. Historia śmierci uczciwego oficera kozackiego z ogromną siłą przekonywającą ukazuje nam słusność prawa społecznego o tym, że nie ma neutralności w walce klasowej, że niezdeterminowany, wahający się — ginie pierwszy.

W powyższym wypadku cel przez autora zamierzony przekraczał kategorię niejako efektów stylistycznych — tematycznych. To nie jest już metafora tematyczna. Poprzez wybranie odpowiedniej sytuacji fabularnej autor osiągał tu rozwiązanie pewnej części tematu.

Jeszcze wyższą kategorię stanowią dalsze przykłady. Stosunek Wokulskiego do Izabeli czyż nie reprezentuje sobą iście polskiego wariantu zależności między burżuazją i szlachtą? Właśnie u nas, wobec spóźnionego, cherlawego rozwoju kapitalizmu, normalny konflikt między burżuazją i szlachtą, który w krajach bardziej rozwiniętych dochodził do krwawych rewolucji i wojen domowych — przybierał formy bardziej zlagodzone, nasza burżuazja, wypychając szlachtę z dominujących stanowisk gospodarczych — jednocześnie podlizywała się jej, małpowała ją, pragnęła się z nią połączyć.

Trzej komuniści w „Zorany ugorze” — to trzy warianty polityki partii na określonym etapie. Jeden — oportunist, drugi lewak. I trzeci, Dawydow, przedstawiciel linii generalnej, którą zaczyna so-

*) Jest to przykład zjawiska, które by można było nazwać metaforą tematyczną.

bie zresztą uzmysławiać dopiero spostrzegając błędy tamtych dwóch.

ALEGORIA I SYMBOL

Aha, rozumiemy! — krzykną w tym miejscu poniektórzy skwapliwcy. — Zresztą, to żadna sztuka, my to dawno robimy. Ja na przykład, jak wprowadziłem do powieści trzech chłopów, to jeden był biedniak, drugi średniak, a trzeci kula! Kolega zaś X, jak wprowadził jednego złego księdza, to mu redaktor kazał wprowadzić jeszcze jednego, patriotę!

Skwapliwcy tacy mają rację, ale nie całkowitą. Zapominają oni o najważniejszym. O motywacji fabularnej. Brak jej albo niedostateczność — zmieniają zasadniczo rodzaj zjawiska, degradują je, przekreślają jego sens artystyczny.

Jedną z form tego zjawiska nazywalem metaforą tematyczną. Stylistyka zna inne formy, np. aluzja, alegoria, symbol.

Jest takie opowiadanie Prusa, „Pleśń świata”. Opowiadacz widzi głaz porosły różnokolorowymi liszajami. I później śni mu się ten głaz jako globus, liszaje na nim rozpychają się, jedne się kurczą, inne rosną. Oto są dzieje ludzkości — mówi Prus czytelnikowi.

Mamy więc przykład alegorii. Nie trudno dostrzec, że cechuje ją wątkowość strony fabularnej. Historia z głazem sama w sobie — jest blaha i nieciekawa, jakiś sens, zresztą też niezbyt olśniewający, nadaje jej porównanie do kuli ziemskiej, jest więc strona tematyczna.

Alegoria, modna w pewnym okresie — w wieku XVII, XVIII i na początku XIX go, jest od jakiegoś czasu w wyraźnej nielaskie. Zbiega się ze wzrostem tendencji realistycznych. Realizm zakłada ważność strony fabularnej, podczas gdy fabuła w alegorii jest tylko pretekstem dla metafory tematycznej. Nic dziwnego, że rodzaj ten dzisiaj nieomal zanikł**).

Porównajmy Wokulskiego i Łęcką z częstymi w dzisiejszych powieściach parami biedniaków i kulaczek. Prus stworzył parę żywych ludzi, których dzieje nawet bez tych przeciwieństw klasowych interesowałyby czytelnika. Dlatego że psychologia tych postaci jest bogata, że są one potrzebne w powieści ze względów fabularnych, że, słowem, motywacja fabularna jest w tym wypadku mocna — ich „dodatkowa wartość” treściowa, ich symboliczne niejako znaczenie jest duże.

Absolutnie tym samym wymaganiom odpowiadają postaci trzech komunistów ze „Zoranego ugoru”. Gdyby nie bogactwo cech indywidualnych Nagulnowa czy Razmiot-

**) Nieomal, ale nie całkiem W powieściach schematycznych występują często postaci, które są raczej właśnie alegoriami, niż postaciami realistycznymi.

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

nowa, gdyby nie rola, którą grają oni w akcji powieści — byłyby to liche alegorie, nie wywołujące żadnego wrażenia, żadnego wzruszenia, żadnej myśli u czytelnika.

A więc, decydującym czynnikiem jest w tym wypadku strona fabularna. Jeżeli chcemy nadac postaciom czy sytuacjom znaczenie ogólniejsze, jeśli chcemy je podnieść do wyżyn symbolu — musimy przede wszystkim uzasadnić pojawienie się tych postaci czy sytuacji w utworze, musimy postaciom dodać życia, sytuacjom kolorytu.

W utworze realistycznym tylko konkretnie, doraźnie ważny element może zyskać znaczenie uogólniające, symboliczne.

NATURALIZM „WIELKI”

„Jeżeli chcemy podnieść do wyżyn symbolu”... Czy musimy tego chcieć?

Wymyślono kiedyś termin „małego realizmu”. O ile się nie myle, oznaczało to po prostu naturalizm. Jeśli tak — pojęcie to nie było konieczne, więc było niepotrzebne. Natomiast wydaje się interesujące wprowadzenie pojęcia „wielkiego naturalizmu”.

W świadomości przeciętnego krytyka literata czy bardziej obojętnego z tymi sprawami czytelnika — naturalizm oznacza dzisiaj wprowadzanie do utworu motywów z grubsza biorąc „nieprzystwoitych”. Nie dyskutując czy literatura realizmu socjalistycznego ma być bezpłciowa czy nie — zostawmy grzecznym pruderyjnym krytykom ten termin, zaopatrując go wszakże w przydomek „mały”.

Albowiem jeśli naturalizm jest chorobą twórczości realistycznej — to milowanie do brzydkich wyrazów i drastycznych scen jest zaiste najlżejszą tej choroby odmianą.

O wiele niebezpieczniejszą jej odmianą jest ta, która zachowując technikę realistyczną opisuje zjawiska i nietypowe, wyjątkowe, będące czasem jawnym zaprzeczeniem obiektywnej prawdy. Tego rodzaju naturalistami są np. pisarze — zdrajcy ruchu robotniczego, trockiści rozmaitych odcieni.

„Naturalizm wielki” nie wspólnego nie ma z pierwszą kategorią. Naturaliści wielcy na odwrót, słabną na samą myśl o tym, że istoty żywe potrafią rozmnażać się inaczej niż przez pączkowanie. Są oni entuzjastami twórczości letniej, pozabawionej jaskrawych obrazów, silnych osobistych namietności itd.

Oczywiście „wielki naturalizm” nie ma także nic wspólnego z tą najbardziej trującą odmianą naturalizmu, z naturalizmem a la Kostler.

Naturaliści „wielcy” bardzo często są subiektywnie gorącymi bojownikami sprawy socjalizmu i jeśli mu szkodzą to przez nieporozumienie.

Pragnąc w każdym swoim utworu odtworzyć wszechświat, opętani, lekkiem pominięciu jakiegokolwiek szczegółu w tym wszechświecie, naturaliści „wielcy” tworzą dzieła, będące zaprzeczeniem sztuki, dzieła martwe, mdłe letnie byle jakie, odtajkowane, zreferacjalne, wydzielne, departamentne.

Jeżeli piszą o wsi — to nie przepuszczają nawet stoncy, jeżeli piszą o mieście — to zahaczają o de ratyzację Najgorzej — jeśli piszą na tematy historyczne — bo wtedy będzie i o wsi, i o mieście, i o stoncy, i o szczurach.

Jak powstają dzieła należące do tego kierunku? Trzeba przyznać, że dużą rolę w tym grają pewne rodzaje krytycy, uznający siebie (nieśluszenie) za marksistów.

Krytycy ci oceniają utwór przy pomocy encyklopedii, czyniąc zarzuty za każdym razem, gdy nie znajdą w utworze tego czy innego zjawiska, wymienionego przecież w encyklopedii.

Reszta jest prosta. Każdy następny autor zabierając się do kolejnego utworu bierze pod uwagę takie wynogi krytyki. Dzieło jego rozłazi się, obejmuje coraz więcej wątków, trzeszczy w szwach.

Naiwny! Choćby piękny encyklopedii nie dorównał „Czujny” i „Głęboki” krytyk zawsze znajdzie w jego dziele dosyć pominiętych wątków i wąteków, by go odpowiednio „schepać”.

Pięknym tego przykładem był artykuł pewnego klasyka naturalizmu „wielkiego” na temat modnego utworu. Zdaniem wszystkich autor był niemożliwie, niebylewale rozdyt, wszystko, wszystko, zdawałoby się, zostało w nim odfajkowane. Ale nasz klasyk znalazł jeszcze parę braków, zarzucił np., że jakaś tam partia polityczna (drugorzędna zresztą w tym wypadku) nie została z należytą jaskrawością przedstawiona.

TWORZYĆ — TO NIE ZNACZY WYLICZAC

A tymczasem twórczość realistyczna nie ma nic wspólnego z opisywactwem, z wylizaniem wszystkich zjawisk życiowych z danej dziedziny. Realizm — w przeciwnieństwie do naturalizmu — polega właśnie na wyborze ważnych, typowych zjawisk. „Wszystkości”, naturaliści „wielcy” zaprzeczają estetyce marksistowskiej i niszczą naszą sztukę narodową.

Czy duże jest niebezpieczeństwo naturalizmu „wielkiego”?

— A i owszem. Istnieje ono nie tylko u nas, ale i np. w Związku Radzieckim.

Krytyka radziecka ostatnio występuje często przeciwko utworom „szarym, nudnym, niewyrazistym”. Walka z szarą literacką — o bok walki z bezkonfliktowością — jest dzisiaj w Związku Radzieckim na porządku dziennym.

Cóż jednak oznacza utwór „szary, nudny, niewyrazisty”? Oznacza zazwyczaj, że autor wprawdzie zabezpieczył się przed krytyką, wylizując w swoim utworze wszystkie szczegóły i szczegóły danego problemu, ale że utonął w tym wylizaniu, nie umiał z należytą siłą ukazać tego, co decyduje. Innymi słowy typowość pojął jako przeciętność, wybór zastąpił wylizowaniem.

Tylko w tej płaszczyźnie możemy zrozumieć wystąpienie Malenkowa, jego tezy o typowości, ogłoszone w referacie na XIX Zjeździe KPZR.

Istotnie, jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że jeden z kierowników wielkiej partii bolszewickiej, przyszły premier Związku Radzieckiego, w zasadniczym referacie politycznym tyle miejsca poświęca teoretycznym zagadnieniom literackim?

I rozgromiona poprzednio „teoria” bezkonfliktowości, i fałszywe, statystyczne pojmiowanie zasady typowości stały się poważnym hamulcem w rozwoju radzieckiej twórczości artystycznej, powodując powstawanie właśnie owych utworów mdłych, niewyrazistych. I właśnie tezy Malenkowa dają artyście możliwość przełamania tej szarzyzny, wyjścia z bagienka naturalizmu na szerokie tory twórczości prawdziwie realistycznej.

4.IV.1953 r.

JULIAN PRZYBOS

LIST DO BRATA NA WIEŚ

„Hej tam w Krakowie na bloniu
wywija Jasio na koniu.”
(Pieśń ludowa)

A więc słuchaj co powiem.

Na Dożynkach w Krakowie na bloniu,
(jak w śpiewance o Jasiu — o tobie),
jakbyś dosiadł stu koni na koniu
i jakbyś zaśpiewał obaj:
przewidziałem się wesolo na traktorze.
A widziałeś ty snopowiązałkę —
kombajn?

To maszyna ogromna — okara!
Siecze, wiąże, orze, sieje
siece...
i tak w koło
po kole,
a, kto wie, mogłaby i na raz.

Podobno i mnie ojciec zapisał poletko
jak na gniazdo żniwiarzy spółdzielcze...
Ruszał z niego maszyną, ona cię poderwie
do gromady i roboty wesole!

A ja lśniący sierp matki zawieszę na herbie.

Kończę,
patrzę w twoją stronę:
Nowa wiosna cię nagli, tej wiosny nie pomini!

Już się zerwał, zatrzępotał skowronek,
jakby chwiał skrzydłkami coraz wyżej pierwszy promień,
zwiślał na nim,
dzwonił w skryte za obłokiem słońce!

Napisz, bracie, coś zamierzył, do mnie.

Co słyszał?

Czy — jak odpowiadali nam na to dziadkowie:
„Wszytko — stare — staro-bida?”

Ze starej chałupy do nowej
jeszcze się nie przeniosłeś?
A na starej strzechy się sypie i komin rozsycha.

Turbujesz się, jak zacząć jednym koniem wiosnę?...
bieda...

na siew zabrakło... ozimina zrzeda...
Mógłbym ten lament na pamięć wyśpiewać,
byłaby z tego dziadowska litania przydługa.

Wróble mi to ćwierkają na kwitnących drzewach:
na tarninach, czereśniach jak śnieg wniebowzięty!

Mówisz, w nos mi się śmiejesz, że nos w gwiazdach noszę?
Ale ja czuję jeszcze gnój brany na nosze
i „clorany” na grzdy,
i nie od płóta, ale od wspomnienia pluga
ręka mi omdlewa,
gdy piszę list do ciebie, jak z tej wiosny włoszek:
trzeba cię od kupy nawozu oderwać.

Nie sieję, nie orzę,
ziemi tyle mam, co w oknie,
a na wiosnę żyję tylko — z patrzenia
wnoszącego mnie pod niebo za skowronkiem...
i jak dawniej — ni lepiej ni gorzej —
składam prawie od niechcenia bajki...
(Rozumiałeś je, co prawda, „niezupełnie całkiem”,
jednak lepiej o niebo bez chmurek,
niż warszawski w okularach profesorów)
Ale właśnie ja widzę słonecznie, najjaśniej
nawet z oczami zawiązanymi obłokiem.

Jakie bowiem praktyczne wnioski tworca może wyciągnąć z zasady, że „typowe... jest to, co najpełniej i z największą ostrością ukazuje istotę danej siły społecznej?”****)

Ten przede wszystkim: odrzucaćmy odfajkowanie, odrzucaćmy wyliczanie drugorzędnych, nieważnych szczegółów, postaci, spraw, zagadnień, swoją uwagę twórczą skupiaćmy na sprawach, postaciach, sytuacjach typowych, dobieramy je oszczędnie, ale za to nie żałujemy siły i wyrazistości w ich ukazaniu.

Albowiem tym właśnie różni się literatura od np. historii i nauk społecznych, że poprzez odpowiedni wybór i odpowiednio silny ładunek emocjonalny osiąga to, co w nauce zdobywa się wyliczaniem i rozumowaniem.

Rok temu wiele mówiono u nas o filmie „Młodość Szopena”. Było sporo takich, którzy widzieli w nim historyczne arcydzieło. Moim zdaniem, w ciągu roku „Młodość” ta mocno się zestarzała.

Co ten obraz zepsuło? Właśnie naturalistyczne pojmowanie zasady typowości, właśnie zastrzeżenie wyboru przez wyliczanie. Wszystko, wszystko znalazło się w filmie: i pauperyzacja chłopów, i rozwój kapitalizmu w Polsce, i walki międzypartyjne w Warszawie, i kosmopolityzm, i sto dwadzieścia innych zagadnień, bardzo ważnych, niezbędnych w encyklopedii, wepchniętych gwałtem do filmu, wspomnianych, wzmiarkowanych, co się zowie — odfajkowanych.

W rezultacie zabrakło miejsca, siły i wyrazistości dla najważniejszego, zabrakło dramatu centralnego, istota wielkiego zjawiska społecznego, jakim jest muzyka Szopena — pozostała nierozszyfrowana.

Dlatego nie ratują go poszczególnie doskonałe sceny, nie ratuje dobra muzyka, piękne zdjęcia, nie ratuje nawet bezbłędność polityczna. Bo ta — choć jest niezbędna, nie wystarczy przecież, aby powstało dzieło sztuki.

Podaję przykład „Młodości Szopena”, bo zjawisko naturalizmu „wielkiego” daje się odczuć szczególnie w filmie historyczno - biograficznym, także np. radzieckim.

Jeśli porównamy takie filmy, jak „Wielki Obywatel”, „Delegat Bałtyku”, „Lenin w Pałacu” — do późniejszych filmów biograficznych i historycznych — dostrzeżemy właśnie rozpraszanie się uwagi reżyserskiej w filmach robionych oświeceniście, zastępowanie jednego, centralnego wątku dramatycznego szeregiem pomniejszych, czasem już nie wątków, ale supełków. Oczywiście, taka tendencja nie może nie wpłynąć osłabiająco na poziom artystyczny filmu, a co za tym idzie — na jego siłę atrakcyjną.

I dyskusja o dramaturgii, i tezy Malenkowa z pewnością wpłyną udurowiająco na ten stan rzeczy.

BRYLA MARMURU

Można teraz wrócić do początku. Cytowałem tam przykłady „wartości dodatkowej”, którą osiąga się w prozie przez odpowiedni wybór postaci i sytuacji.

Oczywiście, sytuacje, aby przemawiały swoim sensem uogólnionym, muszą być umotywowane fabularnie. Oczywiście, aby postać stała się typem, musi być przedtem indywidualnością.

Jeśli się zapomni o tych zastrzeżeniach, albo jeśli zabraknie nam siły artystycznej w malowaniu odpowiednich postaci czy sytuacji — ryzykujemy, że wyjdą nam spod pióra nędzne alegorie.

Ale jeśli przed taką katastrofą nie powinien nas pchać w inną ostateczność, w kierunku naturalistycznego opisywania, kiedy autor z góry rezygnuje z wszelkiego uogólniającego znaczenia powołanych przez siebie do życia postaci.

Kiedy strona fabularna szwankuje — powstają schematyczne alegorie. Kiedy szwankuje strona tematyczna — powstaje jakaś tam odmiana naturalizmu. Twórczość realistyczna polega na harmonijnym pogodzeniu tych dwóch płaszczyzn.

To znaczy: nie skłapić kolorów dla ukazania indywidualności danej postaci — wybieramy ją do utworu po to by wyrażała jakąś prawdę wyższego rzędu, żeby wyrażała „istotę danej siły społecznej”.

Tezy Malenkowa, wymierzone przeciwko schematyzmowi, bezkonfliktowości, opisywaniu — mogą i powinny dopomóc nam w przezwyciężeniu naturalizmu, choćby „wielkiego”. Stałą się one nieocenioną pomocą dla naszych twórców — pod warunkiem przedyskutowania ich przez krytykę, wyjaśnienia ich na dostępnych, znanych powszechnie przykładach.

Tezy te, ujmujące sedno realizmu socjalistycznego, nawiązują do podstawowych praw wszelkiej twórczości artystycznej. Tworzyć — to znaczy wybierać. To, co nie jest ważne, jest ekzotyczne. To, co nie jest niezbędne, jest zbędne.

Twórczość Rodina może budzić takie czy inne zastrzeżenia. Ale jego definicja twórczości jest znakomita.

Istotnie, bierze się bryłę marmuru i odtłukuje się z niej wszystko, co jest niepotrzebne.

Zostaje wówczas to, co „z największą siłą i wyrazistością ukazuje istotę danej siły społecznej”.

Jerzy Putrament

****) Numer specjalny „Nowych Dróg”, październik, 1952, str. 55.

SZCZEPAN PIENIAŻEK

Czy światu grozi głód?

Rozprowadzić kanałami nawadniającymi po ląkającej wilgoci ziemi. Bezpieczne stępy w szachownicę pół otoczonych wiatrochłonnymi pasami drzew, które bronić będą przed „suchowiejami” — oto założenie wielkich budowli komunizmu. Zatrzymana woda wyparuje w powietrze, gdzie utworzy chmury, a z nich po raz drugi i trzeci spadnie na ziemię w postaci deszczu. W ten sposób nikomu się wody nie kradnie, a powódzie jej szybki, wielokrotny obrót. Już dziś widać wyraźnie korzystne zmiany lokalnego klimatu tam gdzie tego rodzaju przeobrażenia przyrody prowadzi się od lat kilkunastu. Pełne rezultaty gigantycznych prac zbierać będzie już następne pokolenie.

WRODZONE ZDOLNOŚCI ROŚLIN

Inny czynnik wysokich plonów — to pielęgnacja roślin, to praca ludzka włożona w te pielęgnacje. Rozwój przemysłu pozwala nam na zastąpienie jej w coraz większej mierze przez pracę maszyn. Możliwość ta występuje szczególnie w dużych gospodarstwach rolnych, a ku takim przecież idziemy przez uściszczenie wsi.

Wychudły koń ciągnie z wysiłkiem pluga na wąskich zagonach okolonnych z obu stron wysoką zieloną miedzą. Przewraca płytka skłębę. Pod wierzchnią pokrywą roli tworzy się twarda, zbita warstwa, przez którą z trudnością przebijają się korzenie zasilające zboża. Po drugiej stronie szosy nie widać już miedzy. Na polach spółdzielni produkcyjnej kroi ziemię plugi traktorowe. Kroi ziemię głęboko, bo za plugiem idzie pogłębiacz, rozrywa, spulchnia spódnią, zbitą warstwę podglebia. Nic dziwnego, że po takiej orce zboża wyrosną bujniej i plon dają większy. Tak oto maszyzna, która wkłada w uprawę więcej pracy niż człowiek i koń, może się przyczynić do powiększenia plonów.

Ostatnim czynnikiem wysokich plonów, na który zwrócimy uwagę, jest natura samej rośliny. Do lat ostatnich odmiany roślin uprawnych powstawały same, albo też tworzone były przez człowieka w jego pracy hodowlanej nieświadomie, bo nauka nie znała metod, które pozwalałyby na świadome kształtowanie w roślinach korzystnych dla człowieka cech. Dopiero w ciągu ostatniego półwiecza powstał w ZSRR nowy kierunek w naukach przyrodniczych, zwany agrobiologią, i uchylił rąbka zasłony tajemnic natury roślin. Dzięki pracom Mieczurina, Łysenki i innych wybitnych biologów radzieckich pozwolił ten kierunek na świadome kierowanie zmiennością roślin, świadomą hodowlą nowych odmian, dających coraz to wyższe plony. Na tej drodze następne pokolenia mogą dojść do wyhodowania roślin, które plonami swymi wielokrotnie przewyższają odmiany obecnie przez nas uprawiane.

Mają jeszcze wykorzystujemy w roślinach ich naturalne zdolności do przynależności wysokich plonów. Za rekordzistkę pod tym względem uchodzi roślina krajów gorących — banan, który przynieść może ni mniej ni więcej tylko 3000 kwintali owoców z hektara! Ale po cóż wspominać rośliny tak egzotyczne, kiedy mamy przykład daleko bliższy — kukurydzę. Są u nas takie odmiany kukurydzy, które przyniosą 40-50 kwintali z hektara, to znaczy więcej, niż każdy inny gatunek uprawianego u nas zboża. W krajach, gdzie kukurydza została jeszcze lepiej zaaklimatyzowana przynosi ona 100 i więcej kwintali z hektara.

W mojej pracy dziennikarskiej, w poszukiwaniu materiałów do reportażu w pierwszą rocznicę śmierci Generała, wędrowałam śladami jego młodości, jego przyjaciół i towarzyszy pracy z dawnego „Gerlach”. W rozmowach z nimi spotkałam innego Karola. Żywego, Bliźniego. Ludzkiego. Mały Karol z ulicy Kaczej 6 to nie tylko dziecko, które wyrasta w pełnej patos atmosferze walki, u boku ojca rewolucjonisty i towarzyszy z Woli, w atmosferze buntującej się Warszawy. To również mały łobuziak, o którym opowiadała mi stara dozorczyni jednego z ocalałych domów na Kaczej, wesoły urwis, którego ulubionym zajęciem, rano, było wraz z dziećmi ulicy odprawianie dyndy starego warszawskiego dorozkarsza (Buźdaka spod dziesiątego) na tzw. fiakierkę. To jeden z rodzajowych obrazków charakterystycznych dla ówczesnej Warszawy i dla życia małego Karola.

W opowiadaniach kolegów spotkałam Karola, wesołego chłopaka, doskonałego kompana i towarzysza. „Karol to mój dobry druh i kolega z lat młodych — opowiadał mi jeden z nich. — Jako chłopcy całe wieczory przegadywaliśmy, wódcę się po przedmieściach Moskwy, np. nad rzeczką Jaizną na Czerkizowie, gdzie na Potiesznej 4 mieszkali Swierczewscy.

W POSZUKIWANIU NOWYCH DRÓG

Nie każda roślina może stanowić pokarm dla człowieka, ani nawet dla hodowanych przez niego zwierząt. Jeśli chodzi o rośliny uprawne, to często tylko ich część jest przez człowieka jadalna czy zwierzęcą bezpośrednio żywnością. Weźmy np. pszenicę. Tylko jej ziarno jest jadalne. Siomę dajemy wprowadzić bydłu na paszę, ale jest to pasza bardzo uboga, ponieważ składa się z błonnika, czyli celulozy, oraz innych związków organicznych, których nie mogą strawić wyższe gatunki zwierząt. Błonnik i inne niestrawne składniki roślinnej masy znajdują się nie tylko w słomie, ale i w ziemiakach i w chlebie, i we wszystkich prawie środkach żywności. Gdyby system trawienny ludzi i zwierząt mógł zużytkować te związki, zapotrzebowanie na żywność uległoby dużemu zmniejszeniu, gdyż kaloryczna jej wartość wzrosłaby znacznie.

Nauka nie potrafi przystosować nas do trawienia błonnika, ale próbuje innej drogi. Istnieje prosty związek organiczny — mocznik, znany składnik moczu zwierzęcego. W fabryce łatwo można produkować ten związek sztucznie z dwutlenku węgla i z azotu powietrznego. Wkrótce ruszy i u nas produkcja mocznika w Kędzierzynie, ponieważ jest to dobry nawóz sztuczny dla rolnictwa. Ale nauka stara się wykorzystać mocznik w inny sposób. Łącząc go z niedającymi się strawić składnikami słomy lub trocin ze zwykłego drzewa, można stworzyć substancję podobną do białka, a więc produktu niezmierne poszukiwanego na paszę dla zwierząt gospodarskich. Jeśli sposób produkcji takiego białka zostanie o-

pracowany ostatecznie, wtedy miliardy ton odpadków roślinnych będzie można przetwarzać co roku na najszlachetniejszą i najwartościowszą paszę dla zwierząt; wtedy znowu zwiększy się kolosalnie produkcja żywności dla ludzi.

Popatrzmy z okien pociągu na bydło, które wiosną wychodzi z indywidualnych gospodarstw na paszę. Chude i zabiedzone, aż żal się robi. Wypęda się je na pastwisko, które swoją nazwę chyba stał wywodzi, że się człowiek „pastwi” nad bydłem, a nie od tego, że się było „pasie” w tym miejscu. Ile taka nasza przeciętna krowa może dać mleka w ciągu roku? Pewnie z 800 litrów rocznie, nie więcej. Dajcie nawóz sztuczny na pastwisko i parę kilo dziennie dodatkowej paszy białkowej, a produkcja mleka podskoczy z miejsca do 2000 czy nawet 3000 litrów rocznie, a u dobrzych, rasowych krow i do 8000.

Małą tylko część powierzchni kuli ziemskiej pokrywają lądy, większość stanowią morza i oceany, w niewielkim stopniu przyczyniające się do wyżywienia człowieka. Prowadzi się na nich rabunkowa gospodarka rybołówstwa, podobną do gospodarki człowieka pierwotnego, który w zamierzonych czasach polował maczugą na zwierzęta. Ale już teraz oceanologowie mówią o zagospodarowaniu wód, o ich „uprawie” i nawożeniu, które doprowadzi mogą do olbrzymiego wzrostu połowów ryb i innych zwierząt morskich. Przecież w wierzchnich warstwach mórz i oceanów żyje niezliczona liczba roślin, mogących wykarcić daleko więcej zwierząt niż obecnie. Przed nauką i na tym polu otwiera się pole niezwykle owocnej działalności.

URZEKAJĄCE WIZJE...

Przywykliśmy w ostatnim dziesięcioleciu za symbol potęgi nauki uważać fakt wykorzystania energii atomowej. Na razie umiemy rozbić ją atomy niektórych tylko pierwiastków i uzyskiwać z nich ogromne ilości energii. Na pewno w niedługim czasie nauczymy się robić atomy innych, łatwiej dostępnych dla nas pierwiastków, a wtedy energia atomowa stanie się energią taną. Chwila ta przewyższy swymi możliwościami najśmielsze nasze marzenia. Możemy wtedy my-

śleć o rozpuszczeniu pokryw lodowej bieguna północnego, o zlikwidowaniu zimy i przemianie jej w wieczną wiosnę, a choćby tylko o budowie olbrzymich szklarni, ogrzewanych tą właśnie energią. Już obecnie w Związku Radzieckim próbuje się wyzyskiwać siły atomowe dla celów budownictwa pokojowego, dla obrócenia biegu rzek, dla przeobrażenia przyrody. Jeszcze nasi ojcowie marzyć o tym nie mogli, a do czego dojdą nasze dzieci?...

Poruczy jednak na chwilę urzekające nas wizje; zwrócić uwagę na inne źródło energii również niewyczerpane, stanowiące podstawę naszej egzystencji. Chodzi o energię słoneczną, o życiodajne promienie słoneczne, które ogrzewają naszą planetę i umożliwiają na niej istnienie życia. Zaledwie część energii zużywana zostaje na podstawę w procesie życiowym, jakim jest fotosynteza, to znaczy tworzenie przez rośliny cukru z wody i dwutlenku węgla. Bez fotosyntezy życie w obecnej formie byłoby niemożliwe. Fotosynteza zachodzi w roślinach zielonych dzięki zielonemu zawartemu w nich barwnikowi, który nosi nazwę chlorofilu. Cukier jest jej pierwszym produktem, a z cukru i różnych składników mineralnych, pobranych z gleby, tworzy się całe ciało rośliny, setki tysięcy najróżniejszych związków organicznych. Cukier jest nie tylko najprostszą cegłą budowy organizmu roślinnego. Jest on jednocześnie i podstawowym paliwem, które dostarcza energii do wszystkich przemian, jakie w niej zachodzą. I w naszym organizmie energia rodzi się ze spalania cukru w procesie oddychania. Słusznie możemy zatem twierdzić, że ten prosty związek chemiczny jest naprawdę podstawą życia.

Od przeszło stu lat myśli uczonej idą w kierunku zbadania procesu fotosyntezy, a celem ich jest podpatrzyć sekret wiązania węgla, stworzyć cukier z wody i dwutlenku węgla przy pomocy energii słonecznej, ale bez pośrednictwa roślin. Nielatwie to zamierzenie; jednakże badania ostatnich lat dodają nam otuchy. Dzięki zdobyciom fizyki w dziedzinie atomowej potrafimy wytwarzać izotopy różnych pierwiastków, między innymi i wę-

gla. Izotop węgla to taki sam pierwiastek jak i węgiel zwykły, ale różni się od niego w budowie swego atomu, dzięki czemu jest pierwiastkiem promieniotwórczym. Daje się przy pomocy czułych przyrządów elektrycznych przesłędzić na całej rozciągłości swej drogi, jaką w roślinie odbywa. Dzięki zastosowaniu izotopów, inaczej mówiąc „znaczonych” atomów węgla, nasza wiedza w zakresie fotosyntezy jest dziś znacznie bardziej kompletna, niż była przed laty kilkunastu. Jeśli się uda poznać proces fotosyntezy do końca i odtworzyć go w naszych fabrykach, a nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby się to nie udać — to rolnicy muszą myśleć o zmianie fachu. Zastąpią ich chemicy i biochemicy, którzy z prostych surowców produkować będą żywność bez pośrednictwa roślin i zwierząt.

Powiecie, że to fantazja? Nie, to tylko wiza przyszłości, choć przyszłości jeszcze bardzo dalekiej. Zgodzi się z tym każdy uczonej. Każdy prawdziwy uczonej jest materialistą, a materializm nie uznaje rzeczy niepoznawalnych. Dodajmy jeszcze do tego, że dla materialisty-dialektyka „poznać” to znaczy „opanować”, bo poznanie samo dla siebie, nauka dla nauki nie istnieje w epoce socjalizmu. Zbyt dobrze pamiętam słowa Marksa o tym, że filozofowie dotąd tylko objaśniali świat, a tu chodzi o to, aby go zmienić.

Niespokojny jest sen polityków burżuazyjnych i tych uczonej Zachodu, którzy wprężyli się w rydwan kapitalizmu. Strachy ich rzekomo widmo... Widmo głodu! Zaden poważnie myślący naukowiec w nie nie wierzy, bo wie, że przed ludzkością leżą niezmierzone możliwości. Kapitaliści i tych, którzy świadomie lub nieświadomie dla nich pracują, strachy w rzeczywistości widmo stokroć straszliwsze — widmo życia ze swej własnej pracy, a nie z pracy innych, z wysiłku. Do walki z grożącą zmurą przyzywają na pomoc między innymi straszak głodu, ale dla nas nie jest to żadna groźba, tylko zwykły chochoł słomiany, którego nie przeleknie się nawet dziecko.

Szczepan Pieniążek

DYSKUSJA O „ŻOLNIERZU ZWYCIĘSTWA”

W sprawie koncepcji

W myśli założenia: — „bohatera stwarza historia” — Karol Swierczewski w filmie „Żołnierz zwycięstwa” jest ściśle

związany z walką proletariatu o wolność. Jakubowska specjalnie wydobyla międzyrodowy charakter tej walki. Zdaje mi się jednak, że Jakubowska w pogoni za wielkością i patosem — niekiedy przestaje dostrzegać żywego człowieka. Dzieje się to w pierwszej części filmu, gdzie Swierczewski staje się umownym symbolem. Nawet małego Karola nie widzimy inaczej jak z marsem na twarzy, z buntem i nienawiścią w oku.

Mam wrażenie, że tak jak w pewnych reportażach czuje się tzw. „brak terenu” jeśli piszący za mało poświęcił mu uwagi i czasu, tak w filmie tym dostrzega się brak pieczołowitości w odszukaniu prawdziwego, żywego człowieka. Bohater jest tu raczej wykonany z danych biograficznych i pokazany na szerokim tle historycznym.

W mojej pracy dziennikarskiej, w poszukiwaniu materiałów do reportażu w pierwszą rocznicę śmierci Generała, wędrowałam śladami jego młodości, jego przyjaciół i towarzyszy pracy z dawnego „Gerlach”. W rozmowach z nimi spotkałam innego Karola. Żywego, Bliźniego. Ludzkiego. Mały Karol z ulicy Kaczej 6 to nie tylko dziecko, które wyrasta w pełnej patos atmosferze walki, u boku ojca rewolucjonisty i towarzyszy z Woli, w atmosferze buntującej się Warszawy. To również mały łobuziak, o którym opowiadała mi stara dozorczyni jednego z ocalałych domów na Kaczej, wesoły urwis, którego ulubionym zajęciem, rano, było wraz z dziećmi ulicy odprawianie dyndy starego warszawskiego dorozkarsza (Buźdaka spod dziesiątego) na tzw. fiakierkę. To jeden z rodzajowych obrazków charakterystycznych dla ówczesnej Warszawy i dla życia małego Karola.

W opowiadaniach kolegów spotkałam Karola, wesołego chłopaka, doskonałego kompana i towarzysza. „Karol to mój dobry druh i kolega z lat młodych — opowiadał mi jeden z nich. — Jako chłopcy całe wieczory przegadywaliśmy, wódcę się po przedmieściach Moskwy, np. nad rzeczką Jaizną na Czerkizowie, gdzie na Potiesznej 4 mieszkali Swierczewscy.

Karola wszyscy bardzo lubiliśmy. Zarówno Polacy jak i Rosjanie. Zawsze był pogodny, wesoły a przy tym mądry, nieprzeciętnie inteligentny. Wygadany, słów w kieszeniach nie szukał. Przy pracy dobry towarzysz, wrażliwy na wszelką krzywdę. Po pracy, w niedzielę, nie

był jaki kompan. Latem siedzi z nami nad czyrkizowski staw z harmonią. Tam można było w budce napić się herbaty, a potem pójść na łódki albo usiąść nad Jaizną grać i śpiewać.”

A oto jeden drobny fakt, lecz jakże charakterystyczny dla przyjacielskiej, towarzyskiej, szerokiej natury Karola. Karol idzie z przyjaciółmi kupować buty. Z trudem zaoszczędził na nie 12 rubli. Idą do Sucharewskiego Bazaru, ale na dworze zimno, mróz i śnieg. Przyjaciele zmarli. Karol oczywiście nie może tego ścierpieć. Prosi ich do herbarciarni. „Chodźcie na czaj! Pa w i, Grisza...” Kolekdy tłumaczy: „Nie kupisz butów, w czym będziesz chodził?” Ale co to znaczy wobec chęci poczęstowania kolegów. „Co tam! Kupię buty za 10 rubli. Ech, głupstwo! Zostało siedem. Kupię za siedem!” I kupił wreszcie buty ciasne, kiepskie, które go piekły. W rezultacie, kiedy przyszła wiosna, Karol maserował do fabryki z butami na ramieniu, boso.

Tego rodzaju drobne zdarzenia zbliżają nas bohatera. Czynią go dobrym znajomym. Ale do tego rodzaju relacji o Swierczewskim, zdaje mi się, nie dorosł reżyser w swej pracy. Powtarzam: inne były założenia artystyczne Jakubowskiej, lecz przynajmniej się, że mnie obojętnie brakowało do pełnego obrazu Swierczewskiego bliższej, serdecznej, prawdziwej anegdoty. Tamten z opowiadań jego kolegów był moim dobrym znajomym, żywym. Ten zakrępił w bohaterstwie jak pochwalna, pełna dynamiki, ale jednak nagrobkowa rzeźba.

Brakowało mi w obrazie człowieka, jego życia osobistego, jego rodziny, a nade wszystko, jakie ważne momenty pominięto w filmie, jego rozwoju, jego kształtowania i wyrastania. A to w życiu Karola ciekawa droga.

Udział Karola w Rewolucji Październikowej jest w filmie dojrzały i wielki (Nawiasem mówiąc Swierczewski był wówczas młodym chłopakiem, znacznie młodszym niż grający go aktor). Z relacji jednego z przyjaciół, do którego udało mi się dotrzeć, wynika, że był to burzliwy okres dojrzewania Karola, okres poważnego konfliktu: wychodził do ojczyzny czy zostać i bronić młodej rewolucji? Z chwilowej pozycji młodego obserwatora, który ma opuścić Rosję, przechodzi Swierczewski do udziału w walkach. W walce, w rewolucji rośnie i dojrzewa. Mniej więcej pokrywałoby się to z koncepcją filmu, ale na filmie widzimy go jako gotowego bohatera, który nie przeżywa konfliktów. Nie ma tam ludzi i zdarzeń, które by kazały mu wyjechać, lub które poza sprawą rewolucji silnie wiązałyby go z ro-

gla. Izotop węgla to taki sam pierwiastek jak i węgiel zwykły, ale różni się od niego w budowie swego atomu, dzięki czemu jest pierwiastkiem promieniotwórczym. Daje się przy pomocy czułych przyrządów elektrycznych przesłędzić na całej rozciągłości swej drogi, jaką w roślinie odbywa. Dzięki zastosowaniu izotopów, inaczej mówiąc „znaczonych” atomów węgla, nasza wiedza w zakresie fotosyntezy jest dziś znacznie bardziej kompletna, niż była przed laty kilkunastu. Jeśli się uda poznać proces fotosyntezy do końca i odtworzyć go w naszych fabrykach, a nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby się to nie udać — to rolnicy muszą myśleć o zmianie fachu. Zastąpią ich chemicy i biochemicy, którzy z prostych surowców produkować będą żywność bez pośrednictwa roślin i zwierząt.

Powiecie, że to fantazja? Nie, to tylko wiza przyszłości, choć przyszłości jeszcze bardzo dalekiej. Zgodzi się z tym każdy uczonej. Każdy prawdziwy uczonej jest materialistą, a materializm nie uznaje rzeczy niepoznawalnych. Dodajmy jeszcze do tego, że dla materialisty-dialektyka „poznać” to znaczy „opanować”, bo poznanie samo dla siebie, nauka dla nauki nie istnieje w epoce socjalizmu. Zbyt dobrze pamiętam słowa Marksa o tym, że filozofowie dotąd tylko objaśniali świat, a tu chodzi o to, aby go zmienić.

Niespokojny jest sen polityków burżuazyjnych i tych uczonej Zachodu, którzy wprężyli się w rydwan kapitalizmu. Strachy ich rzekomo widmo... Widmo głodu! Zaden poważnie myślący naukowiec w nie nie wierzy, bo wie, że przed ludzkością leżą niezmierzone możliwości. Kapitaliści i tych, którzy świadomie lub nieświadomie dla nich pracują, strachy w rzeczywistości widmo stokroć straszliwsze — widmo życia ze swej własnej pracy, a nie z pracy innych, z wysiłku. Do walki z grożącą zmurą przyzywają na pomoc między innymi straszak głodu, ale dla nas nie jest to żadna groźba, tylko zwykły chochoł słomiany, którego nie przeleknie się nawet dziecko.

Szczepan Pieniążek

dzając się republiką radziecką. Nie ma jego moskiewskich przyjaciół, nie ma ukończonej Niury, młodzieńczej szpularki, koleżanki sióstr, robotnicy z fabryki dziewiarskiej Prusaka. Karol staje się żołnierzem rewolucji, który jednak znajduje czas, aby podczas krótkich urlopów wpaść z frontu do młodej żony, a potem do małej córki. Brak mi było w tej części filmu jego ludzkich trosk i radości.

Brak mi było również pokazania jego wytrwałości, konsekwentnej pracy nad sobą, pracy, która pogłębia jego rewolucjonizm i czyni go obrońcą rewolucji, a potem jej generałem. Opowiadania jego przyjaciół ukazały mi go na tle wyjątkowo wartościowej rodziny proletariackiej, bardzo kochającej się i bardzo, bardzo dużo uczącej się.

„Poznałem Karola” przez jego siostry — opowiadał mi jego znajomy — bo pracowały w tej samej fabryce dziewiarskiej co ja, ewakuowane z Warszawy — u Prusaka. Były tam szpularkami, Lonia i... nie pamiętam imienia drugiej dziewczyny. Raz przyszedłem do nich do domu i tam poznałem Karola. To była wyjątkowo miła rodzina! Zgodna, kochająca się! Ale bardzo uboga. Bo co tam te szpularki zarabiałały w tamtych, carskich czasach. A gdy do wyżywienia dużo. Ojciec, znany w Warszawie na Woli, rewolucjonista, umarli na parę lat przed wojną. Portret jego w największym szacunku wisiał w mieszkaniu Swierczewskich przy ulicy Potiesznej. Karol bardzo kochał matkę! Kiedy wracał, zawsze serdecznie ją witął. Nie znam drugiej tak zgodnej rodziny! Wzorowa, proletariacka. I zawsze było u nich przyjemnie i czysto, choć biednie, bo co tam oni mieli. Żelazne łóżko, parę krzesel i stół. Ale jak człowiek do nich przyszedł, zawsze przyjemnie czas spędził. Wszyscy Swierczewscy byli inteligentni, zdolni i ocytani. Kiedy zasiadeli do nich wieczorem, to zawsze siedzieli do końca stołu, a każdy z książką w ręce. Karol bardzo lubił się uczyć. Był samoukiem, ale każdą wolną chwilę od pracy i towarzystwa kolegów spędzał nad książką.”

Ten zdolny, poważny, niezwykle ambitny chłopak, jeśli chodzi o pracę, naukę i walkę, i ten przemilczy, wesoły kompan, który z towarzyszymi nie tylko pracuje i konspirował, ale i bawi się równie szczerze, serdecznie, jak potem walczy i zwycięża — to młody Swierczewski. Te jego cechy, ich rozwój, niejako przedyskutują go na generała rewolucji, na bohatera ludowego.

Tego nieoficjalnego Karola, żywego Karola z opowiadań jego przyjaciół, nie znalazłam w „Żołnierzu zwycięstwa” Jakubowskiej.

Anela Daszewska

1. **N**azajutrz po rozmowie na Zoliborzu — dzień był lekko deszczowy, chodniki wilgotne — o godzinie jedenastej przed południem — Józef znalazł się w szynku na Woli. Odczekał aż restaurator pozostał sam i szepnął mu, od kogo przybywa. Usłyszawszy imię, restaurator przeniósł ocy gdzieś w przestrzeń i dopiero po chwili obejrzał przybysza. W bluzie wojskowej z białym czarnym szalikiem wokół szyi, z krótkim nosem nad otwartymi ustami, w brązowym malutkim kapeluszu odslaniającym łysą czoło szynkarz wyglądał jak półgłówka. Ale gdy się uśmiechnął, jego twarz ujawniła niespodziewane rezerwy.

— Wiem! wiem! — odpowiedział. Przeprowadził Józefa przez siędło suto umeblowanego pokoju z dwoma „famiłijnymi” łóżkami, na których piętrzyły się stosy poduszek; z dużym owalnym lustrem, na którym stała fotografia gospodarza z wojska; z okrągłym stołem, z fikusami, pelargoniami, landשאftami, z portretami na ścianie i mnóstwem trudnych do opisanie drobniaków, rozrzuconych po kątach. W pokoju zarówno jak w szynku panował chłód.

Gdy weszli, chłopiec, który siedział przy stole przed butelką wódki, na ich widok wpuścił rękę do kieszeni.

— Nie! Nie! — krzyknął szynkarz. — To swój! Skutli! Adam!

— Ja myślę! — odpisał z uśmiechem chłopiec. — Inaczej nasza rozmowa byłaby krótka; pokazałbym mu moje prawe i lewe dokumenty. — I wydobył dwa rewolwery z prawej i z lewej kieszeni.

— Schowaj, szalony! — skrzywił się gospodarz; widać było, że lubi szaleńca. — Oni powinni zaraz nadejść — zwrócił się do Józefa — czekajcie tutaj. Nim wyszedł, raz jeszcze pogroził chłopcu.

Odłożywszy eoreżynowy nóż, którym krajał kielbasę, chłopiec przedstawił się Józefowi:

— Adam jestem; a po naszymu — dodał ciszej — Abram. A latów razem wychodziłszy z placówką Ostbahnu: nie pamięta pan?

Przyjrząwszy się uważnie chłopcu, trochę ocieplającemu, o „japońskiej” twarzy z grubymi powiekami i przebiegłymi, ale miłymi oczami Józef przypomniał sobie jak latem wychodził z ogarniętego pożogą, szaleństwem i mordem getta; znaleźli się nawet w jednym szeregu i tuż za miastem obaj razem się urwali. Na pożegnanie, gdy uściskali sobie mocno ręce, chłopiec, choć było im wyjątkowo ciężko na duszy, zawołał weselo: — Ja nie oddaję bony. — Józefowi zawsze robiło się ciepło, ilekroć wspominał to pożegnanie.

Pijąc wódkę, chłopiec opowiadał mu z nim działo po opuszczeniu murów: *Jacyś partyjni skierowali go do partyzantki w lesie. — Jasiu! kogo prowadzisz — wołał z lasu do chłopca, który go prowadził. — Waszego wam prowadzę. — Dawaj go, Jasiu! A skąd on? Z Warszawy? — Z Warszawy. Było ich w lesie z dwudziestu, urządzali wypad na wieś, wylewali mleko w mleczarniach, zabierali masło, pieniądze, auswajsy, bili sołtysów, którzy trzymali ze szkopem. Jak głód im dokuczał, chodzili do chłopów — Antek, mówili z chłopką, dawaj ze dwie bochenki chleba, jesteśmy głodne. Walczymy przeciwiek ze wspólnym wrogiem! Chłopi*

LUDWIKA WOŹNICKA

(2)

Ocalenie

W inspektoracie, owszem, świetnie rozumieją, że położenie jest ciężkie. Rozkładają ręce i współczują.

— Dajcie mi absolwentów liceum pedagogicznego!

Inspektor wdycha: — Towarzysko, przecież my wiemy, że nikt inny by nie dał rady, tylko wy. A ludzie nie chcą tam iść, na tę waszą głuszę, rękami i nogami się bronią i trudno na to poradzić. Co my możemy zrobić?

Kobieta oparta o biurko inspektora wdycha także, a jest to westchnienie z głębi piersi, ciężkie i głośnie. Jej oczy są mocniej niż kiedykolwiek podkreślone atramentowymi sińcami — inne kobiety robią sobie takie cienie ołówkiem, żeby wyglądać interesująco. Mówi powoli:

— Mówicie, że nikt inny nie dałby rady. Ja też nie daję rady... Jedną z dziewczyneczek uciekła wczoraj, znikła, widziano ją podobno wieczorem, jak zaczęła marznąć w porcie rybackim. Inna wróciła do domu prawie w nocy i nie wiem, gdzie była. Ja nie mam nad dziećmi żadnej kontroli. Po prostu nie mam czasu... Dzieci się potopiają bez opieki, bo morze o krok, sytuacja jest straszna, rozumiecie? — przechrzyła się przez biurko i kończył zmienionym głosem, różnym zupełnie od jej zwykłego, matowego i trochę zawsze pieszczotliwego. Kończy krzykiem:

— Ja wam przywożę dzieci tu, na podwórze inspektoratu i zostawiam! Róbicie z nimi co chcecie! Ja muszę mieć wychowawców!

— Ile? — pyta inspektor udręczonym głosem.

— Przynajmniej troje, a właściwie czworo, bo ta Poniatowska na nie się nie zda...

Żawali i tak, ale zawsze lepiej było im pokazać *czubek rury*. W lasach przebywali także inni partyzanci, a także *eneszety*, którzy chcieli ich *położyć*. Mówili: po co oni mają psuć polski chleb, polskie mięso, masło i jeszcze się przy tym i polskiemu chłopkowi od nich oberwie, lepiej ich *położyć*. Nie wszystkim podobalo się w lesie. Bić się, mówili niektórzy, musimy tam. — Gdzie tam? — pytali inni — Czy kominiarz ma matkę, mucha żołądek, a Żyd ojczyznę? — Nie, rebiata, a jednak nie w lesie. Trzeba wracać do miasta. Człowiek miejski traci pazurki wśród drzew. Pewnego dnia żandarmi obstawili las i wysiedli wszystkich. Tylko dwóch ocalało. Adam i jeszcze jeden.

— A teraz? — spytał Józef.

— Teraz mieszkam w murach.

— I co robisz?

— Co robię? — Zamiast odpowiedzieć chłopiec odsunął się od stołu, wpuścił rękę do worka i wyciągnął dwa granaty.

— Teraz przenoszę *kartofle*. *Kartofle* będą nam potrzebne. Nie pójdziemy jak barany do wagonów! Nie będzie tak jak latem!

2.

— Zabierajcie się! Już są, są! — szynkarz wbiegł do pokoju. Za nim ukazał się człowiek lat dwudziestu kilku, szatyn o jasnych, gładkich, niezbyt gestych włosach, zaczesanych na przedział, o głowie za dużej w stosunku do reszty postaci, skutkiem czego wydawał się jakiś chorobliwy, karzełkowaty; był zresztą drobny. Usta miał grube, czerwone, nieco obwisłe, oczy duże, niebieskie, promienne, niezwykle czyste, jakby dopiero co umyte. Ubrany był w wybrudzoną i znoszony burbery, welwetowe spodnie i zielony pomięty kapelusz. Józef domyślił się, iż jest to człowiek, którego chłopiec miał przeprowadzić na święta, o czym przedtem wspominał. Ponieważ miał przyjść o jedenastej, przestano się go już spodziewać. Przekroczywszy próg pokoju nowy z przestrachem rozglądał się wokoło.

Adam w dwóch słowach powiedział mu, co ma robić. Sam złapał worek z *kartoflami*, Józef plecak; „gość na święta” miał ze sobą granatowy woreczek, nie większy niż jasek do spania, i wrócił do szynku. Przy kontuarze od razu poznał *swioch*: suchy, groźny, wsały robotnik w kombinie z opaską na ramieniu pił z *bahnschutzem*, świńskim blondynem. Ujrawszy wchodzących robotnik w kombinie wytarł usta wierzchem ręki i mruknął coś *bahnschutzowi*. Wkrótce cała piątka wyszła. Na ulicy o kilkadziesiąt kroków dalej czekał oddział złożony z siedmiu trójek, ponuro spoglądających wokoło. Większość miała worki lub plecaki z żywnością. Robotnik w kombinie kazał Józefowi, Adamowi i „gościowi na święta” dołączyć na koniec.

Na wasze przyjał ich żandarm, niemłody o regularnych rysach twarzy i złych oczach. Bez słowa spoglądał na buty, płaszcz, worki, twarze; wszystko wskazywało na to, że zechce się „zabawić”. Obszedłszy grupę, zatrzymał się przed *placówkarzem* w przedostatniej trójce tuż przed Józefem. Człowiek ten nie był ubrany inaczej niż wszyscy, ale w twarzy miał więcej goryczy, bólu i czerni, był jakby bardziej od wewnątrz spalony. *Placówkarz* starał się zachować *normalnie*, nie mógł jednak opanować drżenia nóg. Nagle żandarm kazał

mu wystąpić i wyrzucić zawartość swego worka. Znajdowały się tam *tylko* kartofle. Gdy minęli wachę, chłopiec tracił Józefa w ramię. Przedtem na wyrzuty Józefa, iż pije, odpowiadał, że Niemcy nigdy nie rewidują tych, od których zalałuję wódkę.

Minęli wachę i znaleźli się w getcie.

Zostawiawszy w mieście ongi zamieszkałym przez pół miliona ludzi — oficjalnie — tylko trzydzieści tysięcy, Niemcy oddali im na warsztaty i mieszkania — tylko drobną część dawnych domów. Resztę ulic, domów i mieszkań jeszcze *ciepłych*, pełnych mebli i *ciuchów*, odrutowali lub obmurowali dodatkowym wewnętrznym murem. W tej części dzielnicy nazywanej *ziemią niczyją* nie mieszkał nikt, za przebywanie tutaj groziła kara śmierci. Tędy właśnie przechodził teraz oddział. Józef pa-



miał tę ulicę z dawnych lat. Za każdym razem — przed wojną jeszcze — nie mógł się dość nadziwić, napatrzyć tego życia tak niepodobnego do żadnego innego. Tłumność, hałaśliwość, kolorowość, niezwykłość tego życia wzmogły się jeszcze bardziej po zamknięciu murów. Teraz panowała tutaj cisza, żadnego ruchu, głosu, dźwięku, szmeru. Domy wznosiły się jak nieprawdziwe, wszystko w zasięgu oczu wyglądało jak nieprawdziwe, sklepy stały otworem, porożbijane, spłodowane, o żaluzjach skrzywionych, zdartych, porabanych jak gdyby w nagłym, szalonym gniewie. Na głuchych, pustych chodnikach poniewierały się jakieś wiadra, garnki, kapelusze — trupy rzeczy! Zamarył krzykiem było od pustych wymarłych domów. W otwartych oknach nie pojawiał się nikt.

Ze spuszczonej oczami *placówkarze* szli powoli środkami ulicy, która była z lodu i z płomienia razem. Tłumił oddech jak w obliczu umarłych. Odgłos kroków rolnił ich uszy i dusze.

3.

Gdy doktor Braun powiedział Józefowi, że w *murach* ma udać się do traktierni, której właściciel, Henio Smok wskazał mu drogę do Aleksandra, Józef nie bardzo mógł sobie wyobrazić istnienie traktierni na cmentarzu.

ADOLF RUDNICKI

WARSZAWSKIE POW

Mieściła się ona w jednym z domów mieszkalnych przy *shopie* na parterze w dwóch ciemnych pokojach i niewiele różniła się od podobnych traktierni przed wojną. W pierwszej izbie na bufecie z marmurowym blatem leżały złościste gaski brzuszkami do góry, karpie w galarecie, kolorem przypominające kamienie w strumykach górskich, wątróbki z miedziutką, dobrze przyrumienioną cebulką i wątróbki siekane zwane tu kawio-rem. Fotele, stoliki i stoły różnej wielkości i wartości rozstawione w obu pokojach świadczyły, iż Henio Smok ścigał co i skąd się dało. W drugim pokoju stała nawet du-

odrżek! spokojnie wysłuchawszy Józefa. — Ale przedtem zjedzcie sobie kawalek ryby. Być w wilię Paechy u Henia Smoka i nie zjeść karpia — to grzech.

Wyszedł zza lady, wziął Józefa pod rękę i zaprowadził do drugiego pokoju; posadził go przy jedynym wolnym stoliku nakrytym arkuszem papieru. Obok na kanapie siedziało kilku młodych ludzi nader ożywionych i zajętych tylko sobą. Henio Smok odszedł; po chwili wrócił z rybą.

— Przede wszystkim jeść — rzekł stawiając talerz — jeść, za tych wszystkich, którzy nie wyważą bram niebieskich i nie przyjdą do Henia Smoka. Nie mam racji?

— Złote słowa, Heniu — rzucił ktoś z kanapy.

— Smakuje wam, chłopcy? — zwrócił się do nich Henio.

— To moja babka, Heniu, nauczyła cię gotować karpia, przynajmniej się!

— Jego babka! — Henio Smok kiwał głową z politowaniem i tak kiwając głową, wyszedł.

Józef siedział odwrócony tyłem do towarzysza na otomanie. Ich głośnie uwagi i powiedzenia raz po raz pękały mu wokół uszu.

— Człowieku, masz nową koszulę. Czeczowiczka?

— Ubranie ma także nowe!

— A ty masz nową żonę!

— Haha!

— Teraz wszyscy mają nowe żony!

— Piętnastoletnie mają mężów!

— A piętnastoletni — żony!

— Bo żywy człowiek potrzebuje! Żyje oczy potrzebują, braciżkowie. Zresztą na kiedy chować? I tak czeka człowieka pieć!

— Chłopcy, czy wiecie, co na pewno zostanie po nas?

— Mów!

— Karp po żydowsku pozostanie po nas, chłopcy!

— Na pewno, bracia!

— A jednak i enio Smok nie robi ryby tak jak trzeba. Za mało pieprzy.

— Ale słodzi! A ja lubię — słodką!

— To zginięsz marnie, człowieku!

W dzisiejszych czasach trzeba żreć befsztyki po tatarsku! Co za los — ryba na słodko!

— Kto mi da papierosa? Papierosa! Papierosa!

— Jakie masz?

— *Juno! Juno sind rund!*

— Od czasów „kotła” nie palę innych. Od „kotła” nie miałem w ustach machorkowego!

— Właściwie panuje — dobrobyt.

— To po nich, człowieku, ten dobrobyt! Pochował się ich, spalił ich i — korzystasz. Żyjesz za tych, którzy nie przyjdą do Henia Smoka. Którzy nie wyważą bram niebieskich — słyszałeś?

— Jak człowieka czeka pieć, wszystko ładuje do brzucha — takie prawo!

— I niżej!

— I niżej, haha! Takie prawo!

— Chłopcy, wypijmy za Czym się różni rok dzisiejszy od reszty nocy w roku.

— Wypijmy!

— Czy myślisz, że dadzą nam mówić spokojnie Czym się różni noc dzisiejsza?

— Tym bardziej należy wypić!

zniknięciami musi istnieć jakiś związek. Albo Helena dokądś zwała Norberta... ale po co? Nie, taka myśl nie miała sensu. Albo — jakaś banda, szajka, porywa jej dzieci! To rozumowanie także nie miało sensu, ale wracało uporczywie: alboż to mało na Wybrzeżu przemysłników, różnych niewyrażnych typów? Właśnie minęło ją dwóch, w biały dzień pijanych, elegancko ubranych i zataczających się na ulicy... — Jeżeli w ciągu pół godziny Norbert się nie znajdzie — postanowiła — to dam znać na posterunek.

Tak była przejęta swoimi niepokojem, że wpadła z rozpedem na tych właśnie dwóch osobników, w dzień pijanych, i zbyt eleganckich. Brylantyną, pudrem, wódką, Bóg wie jakimi, cudzoziemskimi perfumami zakreśliło w nosie, nim powiedziała:

— Przepraszam.

Zatrzymała się na ulicy i teraz zrozumiała, dlaczego na nich wpadła. Zatrzymali się bowiem, żeby z rozmachem, z pijacką fantazją, ze śmiechem rzucić jałmużnę skulonemu i nad wyraz nędźnie wyglądającemu człowiekowi, który stał przed bramą na jednej nodze, a druga, krótsza, demonstracyjnie wyciągał daleko od siebie, żeby każdy zauważył jak dalece jest goźdźen litości. Po chwili poznała, że skulony człowiek, z daleka wyglądający na starca, to jest chłopiec, a potem zrozumiała, że ten chłopiec — to Norbert. Krzyknęła, zwróciła się do odkrytej i oparta się o mur, a Norbert, najspokojniej w świecie, spuścił nogę a czapkę, w którą zbierał pieniądze, opróżnił z monet i włożył na głowę. Ująwszy zgrabnie kule, podszedł do niej skwapliwie i grzecznie.

Biegł tak szybko jak to było możliwe, przed śmiechami pijanych, przy czym kierowniczką czuła i widziała po jego obojętnej minie, że Norbert ucieka także jedynie przez uprzejmość dla niej. Wreszcie stanęła ze względu na Norberta, raczej, niż na siebie, bo Norbert był

zadzyszany, ona zaś mogła biec jeszcze dalej i długo — bez końca, byle dalej od takiego wstępu i wszystkich tych trosk nie do przewyciężenia, a które — wiedziała to — trzeba przewyciężyć.

Norbert — spytała, układając na nim zakładowe ubranie, które zwiślało w artystycznym, umyślnym nieładzie — widocznie Norbert tak je wymyślił i porozminal, szukając się do żebrawiny — Norbert, co to miało znaczyć, jak tyś mógł?

Norbert zawstydził się dopiero teraz. Nie odpowiedział jak zwykle, gdy był czymś zmieszany, zaczął się w swoje nieprzenikliwe młozenie.



Rys. W. Majchrzak

W obu rękach zaciskał papierki. Zdawał się mimo wszystko dumny, że uzbierał tak wiele, spoglądał na nie co chwila Kierowniczkę opowiadała takie obrzydzenie, że o mało nie wyrwała mu z rąk tego ohydne- go łupu. Ale jednocześnie opowiadała ją słabość, której broniła się tak długo w ciągu tego dnia, męczącego, pełnego niepowodzeń i częściowych sukcesów, a przede wszystkim na-

— Do Bomzego przyszło wczoraj czterech w maskach. Chcieli *sto kawalek* na organizację. Łajdaku, powiedzieli mu, Niemcom od dałbyś wszystko, a braciom, którzy chcą ratować honor narodu, skąpisz.

— I co?

— Zbladł i *bulnął!*

— Cicho!

— Co, cicho? Wszyscy mówią o tym! Teraz rządzą nie Niemcy, tylko chłopcy z organizacją.

— *Partia!*

— Czekajcie, mówią, że — *łada* godziną...

— Tak...

— Chodzą po ludziach i pytają: kto służył w wojsku? Kto ma jaką szarżę? Szukają lekarzy, chirurgów...

— Chłopcy leżą na strychach, w piwnicach i — czekają. Zerwali z rodzinami, potworzyli sobie *koszary*. Saul od dziesięciu dni nie był w domu.

— Czekają!

Wśród głośnie świstów przy wysysaniu ości i tracaniu się kieliszkami rozmowa na otomanie szła dalej. Nagle straszliwy smutek ścisnął Józefa. Zdawało mu się, iż jeszcze chwila a serce mu pęknie. Nie czuł żadnego związku ze światem, nie rozumiał, po co właściwie przyszedł, dlaczego tu siedzi, nie czuł żadnego obowiązku spełnienia rozkazu doktora Brauna, przeciwnie, zlecenie to wydało mu się bez sensu. Zalewał go ból, a przede wszystkim tęsknota, tęsknota, tęsknota bez granic. Zdawało mu się, iż wstarczy wyjść stąd, a zobaczy osobę, do której się wszystko w nim rwało. „Wróć! Jak najprędzej wróć!” Czuł, iż wszystko tutaj dusi go. I naraz, podobnie jak w chwili gdy minęli wachę, miał pewność, że już nigdy nie wydo- stanie się z murów, że zginie tutaj.

4.

Gdy podniósł oczy zobaczył przed sobą dziewczynę ubraną w zieloną burkę i w narcziarskie spodnie. Sztynnym ruchem poprzec stół wyciągnęła drobną ręką i przedstawiła się: — Perla.

Był to właśnie „człowiek” przysłany przez Henia Smoka. Niedbale, gruby strój nie potrafił zabić dziewczęcości i delikatnych rysów „człowieka”. Nalot surowej powagi bił od jej podłużnej, śniadej, pustynnej twarzy. Gęste, kruczono — czarne włosy uciekały spod narcziarskiej czapki. Józef znał „człowieka”, który stał przed nim. Była to jedyna córka głośnie przed wojną w Europie śpiewaczki; jej ojcem był wtyczek okulista. Na dziewczęcynek dmuchano i chuchano nawet w trudnych warunkach życia w dzielnicy, nigdzie nie puszczano jej samej. Józef widział ją ostatnio tuż przed Wielką Akcją. W ciągu niecałego roku dziecko przekształciło się w dziewczynę, a dziewczyną w człowieka — bez cudzysłowu.

— Mam was zaprowadzić do inżyniera Śpiewaka — rzekła surowo.

— Do Aleksandra.

— To wszystko jedno. Mieszkają razem.

Powiedziała to znów bez przyjaźni, srogo, nieprzystępnie.

jęzonego przeciwnościami. Mój Boże, przecież nigdy nie była na takim stanowisku i nigdy nie była silna, a zawsze delikatna, zawsze lekliwa, aż się sama na siebie o gniewała. W czasie wojny przełamała swoją lekliwość, kiedy było trzeba, teraz w życiu pełnym napięcia i odpowiedzialności łamała się stale. Wreszcie nie mogła już więcej, nie, nie mogła!

Norbert z uprzejmym zdziwieniem spojrział, jak pani zatyka usta dłonią. Jego zdziwienie zmieniło się w popłoch, który rozszerzył oczy i kazał rysom stężeć w niepowiedziwym pytaniu, kiedy usłyszał staranne tłumione łkanie. Wtedy do niej dopadł. Nie wiedział, co robić, wtykał w ręce owe nieszczerne, użebra- ne pieniądze, o które się tak gniewała, że aż plakała, i zapewniał, że *nie* chce nic dla siebie.

Widocznie mu się tylko zdawało, że pani płacze, bo, kiedy odjęła chustkę od twarzy, oczy miała bardzo suche i głos też suchy, odmieniony:

— Musimy się teraz śpieszyć, bo doktor nie będzie czekał.

A potem, już wstępując na białe schody, pachnące uroczyscie szpitalem, karbolem i doktorską *powagą*, *pytała*:

— Więc tak źle ci jest w Zakładzie?

Norbert się uśmiechnął. Pytanie uznał za retoryczne: nie, nie jest mu źle. Przeciwnie, nigdy w życiu jeszcze nie zżywał takiej powagi; jako najstarszy zagania wieczorem malców spać i pilnuje porządku w sypialni. Wprawdzie karmiła *mar-nie*, ale koniec końców jedzenie tu jest pewne... Toteż Norbert zdziwił się pytaniu.

— Jeśli ci nie jest źle, to na co ci były pieniądze? Po co żebrałeś?

Norbert nie zastanowił się wcale nad pytaniem, chociaż wydało mu się nieoczekiwane. Zmrużył oko szelmowo i sprytnie, wskazując jednocześnie pobródką zamknięte, lakierowane drzwi poczekalni profesorskiej:

— A dla niego — wyjaśnił,

Ilustrował ADAM PERZYK

STANIE WIELKANOCNE

Opuściwszy traktiernię nie wyszedł w ogóle na ulicę; udał się na strych, a stamtąd poprzez otwór w ścianie przeskoczył na drugi strych. I tak dłuższy czas przechodził ze strychu na strych, z piwnicy do piwnicy; wszystkie — przebite — łączyły się ze sobą. Dziewczyna, która przez cały czas szła pierwsza, nie uroniła ani jednego, zbytecznego słowa. Była poważna, ścisła i rzeczowa. Wszelkie jej uwagi dotyczyły przejścia. „Uwaga, schodek! Uwaga, trzy schodki! Uwaga, dół!” Czołgali się, z mrocznych piwnic wyskakiwali na oślepiająco jasne podwórza; niebo przejaśniało się, słońce zaczęło przyszwęcać. Raz jeden przyjrząwszy się Józefowi skarciła go, że ubrał się zbyt dobrze. — Trzeba było założyć kombinizon, wszyscy u nas noszą kombinzony, to strój roboczy! — A... wasz strój? — Mój tutaj ucho- dzący za roboczy... — w jednej z piwnic dwóch młodych ludzi przyjęło ich wrogo. Perla musiała im długo tłumaczyć, co i jak, nim w końcu ustąpiła. Raz cofnęła się gwałtownie z podwórza pociągając za sobą Józefa. Może przez dziesięć minut stali obok siebie w ciemnościach piwnicy przywarci do ściany; Józef słyszał bicie jej serduszka. Potem, gdy dostali się na strych i usiedli by odpocząć, odezwała się:

— Nie zauważył mnie, inaczej puściłby serce. Był ten skurwysyn Kogut.

— Kto to jest Kogut? — spytał.

— Słonczok, sportowiec, footballista, który dawniej reprezentował Polskę; dzisiaj nie przemówi po polsku za nic; to okrutny pies. Na wasze podczas rewizji rozbiera do naga, bije rewolwerem po głowie, to przyjaciół Frankensteina; obaj muszą mieć czołwieka do śniadania. Jak nie, to im kawa nie smakuje. Obaj chodzą „na bociana”; ukryją się za węgiel i czyhają na ludzi bez przepustek. Byłby nas północ, mieliśmy szczęście... A mo- żna go było kropsnąć jak nie — do- dała ze złością — ale nie pozwalają. Mówią: za jednego — rozwalają stu z shopu bez sadu. A ci bez tego nie rozwalają tysięcy bez sadu? Mówią tak, bo się boją; straszni! chcą żyć.

— Nie nawidził starych — pomyślał Józef; często spotykał się z tą nienawiścią u młodzieży, która nie mogła wybaczyć starym ich zachowania się latem. Józef przez pewien czas uczył chłopców z murów obchodzik się z bronią. Z równie gorącym uwielbieniem nie spotkał się w życiu. — Najbardziej boli śmierć za nic, ale umrzeć za coś to piękne — powiedział mu kiedyś któryś z chłopców. Nienawidzi starych, ale gotowi byli uwielbiać każdego kto im pokaże, jak się sporządza cocił Molotowa, albo jak się rozbiera karabin lub podpada skład. Bić się — oto czego chcieli.

— Rodziców moich wywieźli latem — ciągnęła dziewczyna. — Krewni znaleźli mi miejsce po tamtej stronie, chcieli żebym się ukrywała. Nie chciałam siedzieć w szafie. Prosiłam, żeby mnie wzięli do lasu. Na to mi powiedziano, że w lesie będzie ze mną więcej kłopotu niż pożytku, bo jestem za czarna i pozostalam. Zresztą strze-

lać trzeba tutaj, bo tutaj stała się krzywda.

Siedzieli za skrzynią, która zakrywała ich od strony otworu w murze, gdy naraz usłyszeli kroki. Nie mogli to być Niemcy, którzy nie wspinali się na strychy i nie schodzili do piwnic. Kroki za sobą usłyszeli już kilka razy, tak jakby ktoś ich śledził. Tym razem doszły ich również głosy. Ci, którzy nadchodzili, mówili po polsku.

— Dan! — krzyknęła dziewczyna głosem, który zdaje się niż chciała. Natychmiast zresztą przymilkła, zawstydzona. Cień czegoś nowego powłókł jej szczipuą twarzyczkę.

— A ty dokąd, Perla? — spytał ją oschle człowiek nazwany Dan. Był wysoki, o ciemnych ścianiętych policzkach i ciemno — niebieskich oczach. Nad jego wysokim chłopięcym czołem wznosiła się szopa czarnych sztywnych włosów.

— Ja do Aleksandra — odpowiedziała dziewczyna.

— No, daj żyć, kobieto! — zawo- dził dryblas. — Ty do Aleksandra, ja do Aleksandra, to żadna robota! Dwóch ludzi do takiej drobnostki!

W człowieku prowadzonym przez Dana Józef po: ał „gościa na święta” z szynku na Woli.

— No, kazano mi — tłumaczyła się dziewczyna.

— Kazano ci, a teraz ja mówię co innego. Jestem twoim przełożonym, czy nie?

— Jesteś. Czy mam wrócić? —

Perla stała się nagle cała czerwona. — Chciałabym zobaczyć Aleksandra. Mówią, że napisał piękny wiersz.

— Kobieto!
— No tak, masz rację. Dwóch ludzi za dużo.

Dziewczyna wydawała się zupełnie zmiażdżona obecnością sztywnowłosego dryblas. Choć przyznawała mu rację, przez dwie minuty stała jeszcze w miejscu nie mogąc się zdecydować odejść. W końcu podała rękę Józefowi; pozostałym kiwnęła głową jak osoba dobrze wychowana i zaczęła przepychać się przez dziurę w ścianie. Wkrótce jej drobna postać zniknęła im z oczu.

— Głuchy i ślepy jest ten tykował Dan — myślał Józef gdy ruszyli w dalszą drogę po strychach i piwnicach. — Nie widzi, co się dzieje w dziewczynie. Kwadrans temu rógła zginąć; jej śniade młode ciało poniewieraloby się teraz w gruzach, wydane na pastwę wron i szczerów; sama marzyła o zabijaniu, uważała się za żołnierza i mówiła jak żołnierz, z czego była dumna; jest zapewne przekonana, że żyje bez zbitecznych delikatności i subtelności, którymś gardzi; marzyła o tym, aby trochę dłużej pobyt w towarzystwie tego okropnego Dana, a jednak wycofała się bez słowa niema i skryta jak mniszka. W kwadrans po zażegnaniu jednego niebezpieczeństwa, a w chwili przed nowym, wstyd znów wrócił do jej delikatnego dziewczęcego serca.

5.

Przeglądając się Józefowi, starając się wybadać kim jest, w jakim celu przybył i na co mu potrzebny Aleksander, inżynier Śpiewak wszelkie pytania dotyczące poety

zbywał milczeniem. Widząc, że nie przełamie inaczej podejrzliwości, Józef powiedział mu, że przybywa od doktora Brauna.

— Rozumiem, partia was przysłała?

Józef wiedział, że jeśli potwierdzi, ostrożność, nieufność inżyniera natychmiast zgąsną i tak było. Dla zamkniętych w getcie nie było większego słowa niż partia. Jedynie partia mogła się przeciwstawić temu, co się stało.

Gdy jesienią 1942 „bilety życia” z „wielkiego kotła” wróciły do dzielnicy, mieszkania złupione, zerwane drzwi, zamki i okna wymagały naprawy. Tym zadaniem shop obarczył inżyniera Śpiewaka, który dobrał sobie ekipę złożoną z kilkudziesięciu ludzi; nazywano ich „girlsami Śpiewaka” albo „baletem Śpi-waka”. Dwie trzecie tego chóru po raz pierwszy otrzymało narzędzia do rak. Aleksandra, który prasował spodnie, inżynier Śpiewak także dokołował. Ponieważ po lecie obaj zostali bez rodzin, zamieszkali razem w wyszabrowanym mieszkaniu po zegarmistrzu Szachnie w kilku dużych pustych pokojach. Przez całą zimę obaj spalili w najmniejszym pokoju, który najłatwiej było ogrzać. Inżynier

Jeśli chodzi o Aleksandra, to on także zrezygnował z miejsca w schronie, ale wpływ na zmianę jego decyzji miała przede wszystkim młodzież, która „wydaje teraz wy-



Śpiewak nie ciągnął Aleksandra do robót, zostawiał go w domu, ale sam uważał się za szczęśliwego, gdy mógł prześledzić po czterech godzinach na dół, „było tylko nie mwieć”. W poszukiwaniu narzędzi pracy często przechodził do „swo- bodnej” części Warszawy; posiadał nawet stałą przepustkę.

Po oiemastym styczniu, kiedy zaczął się „szal bunkrów”, grupa kupców zwróciła się do niego, żeby w „dował im schron pod ziemią. Za robotę ofiarowali mu miejsce w bunkrze. Śpiewak wytargował od nich drugie dla Aleksandra. W tym okresie obaj, inżynier i poeta, uważali, że wszystko lepsze niż pobyt po drugiej stronie i walka ze szmalcowcami. Za każdym powrotem z „drugiej strony” Śpiewak jeszcze bardziej utwierdzał Aleksandra w tym mniemaniu. Po-

tem jednakże zaszły „pewne okoliczności”, które zmieniły decyzję obu. Ze słów inżyniera wynikało, że „znalazł kogoś i zwrócił się w stronę życia”. Józefowi w pierwszej chwili zdawało się, że się przesłyszał. Potem z radością w sercu uprzytomnił sobie, iż inżynier po prostu zakochał się i dlatego nie chciał słyszeć o bunkrze. Znalazł pokój dla ukochanej „po drugiej stronie”, ale w tym z trudem zdoby- tym pokoju ukochana inżyniera spędziła tylko jedną noc. Tej pierwszej zaraz nocy złożył jej wizyte zakochany szmalcownik. Dziewczyna uciekła na dach. Szmalcownik stał w oknie i na przemian to kpiał, to błagał, by wróciła. Gdy zaczął wyłazić do niej przez okienko pod- dasza, groziła, że rzuci się na dół. Po tej nocy ukochana wróciła i nie chciała więcej słyszeć o „drugiej stronie”. Inżynierowi z najwyższym trudem udało się przełamać jej opór i zdobyć inny pokój. Sam miał przejść kilka dzień i zamieszkać „z żoną jako jej brat, ze względu na papiery”. Byłby już dawno przeszedł, gdyby nie obawa przed brakiem pieniędzy. Ostatnio budował schrony „dla pieniędzy i tylko dla pieniędzy”. Szukał nawet amatora na swoje miejsce w schronie kupca Kawona, do którego w myśl umowy miał prawo.

Jeśli chodzi o Aleksandra, to on także zrezygnował z miejsca w schronie, ale wpływ na zmianę jego decyzji miała przede wszystkim młodzież, która „wydaje teraz wy-

gdy zaczęli mówić, natychmiast wybuchali kłótnie. Aleksander uważał, że inżynier nie miał prawa budować schronów skoro nie wierzy w nie. „Jesteś po prostu zazdrośny” — odpowiedział mu na to kiedyś inżynier. Zaraz potem ugryzł się w język, ale było za późno. In- żynier Śpiewak opowiadał w tym miejscu pewien fakt z życia Aleksandra. Latem Aleksander ożenił się z młodszą śpiewaczką, z „cu- downym słowikiem”, byli ze sobą niecałe dwa tygodnie, potem zaczęła się Wielka Akcja i dziewczynę wywieziono do pieca. To co potem uczynił Aleksander nie mieściło się w głowie. Pojechał w ślad za wywiezionymi i dotarł do Kutasowa, małej wioski w okolicy Treblinki, gdzie pijani strażnicy płacili złotem za wodkę i dziewczęta; było to złoto po wywiezionych. Przez tydzień czasu Aleksander włożył się po okolicach łudząc się, że uda mu się dotrzeć do żony. Rozmawiał z chłopami, wlażył na drzewa w lesie, by zobaczyć obóz. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nie mu się nie stało. Dopiero pewnego po- ranku, gdy się obudził w jakiejś stodole, przeraziła go własna od- waga.

— Aleksander — dodał inżynier; był to człowiek powyżej trzydziestki, mocno zbudowany, krepy, o głowie okrągłej jak kula, o twarzy, w której wszystko buchało za- chłanym życiem i ustami, i nos, i chrapy nosa, i oczy, niebieskie, małe, namiętne — Aleksander chce strzelać. Dzieciaku mówię mu, nikt nie wie lepiej ode mnie, jaką broń macie w „nurach. W sam raz — na drugie święto Szalasów! — Tak — odpowiedział mi na to — ale pomimo to strzelać trzeba.

— Ale gdzie jest Aleksander? — spytał Józef.

— Tego nie umiem wam powie- dzieć.

— Czy wróci na noc?
— Nie wiem! Nie wiem! On cho- dzi teraz własnymi drogami, do których mnie nie dopuszcza. Przy- chodzi i wychodzi kiedy chce...

Na prośby Józefa inżynier zgo- dził się pójść poszukać i sprowadzić Aleksandra, ale nie zgodził się za- brać ze sobą Józefa, tak że ten czekał do późnej nocy, kiedy inżynier wrócił — sam Przyniósł Józefowi kawałek maci z „uczty sederowej”, na której miał być i Aleksander, ale nie przyszedł. Inżynier wszę- dzie, gdzie się dało zostawił wiadomości dla Aleksandra, że w do- mu czeka na niego „ktoś ważny”.

Na naleganie Józefa by zaprowa- dzić go tam, gdzie mógł zastać Alek- sandra, inżynier odpowiedział mu, „że jest późna godzina i że to nie Marszałkowska. Ale...sander na pe- wno siedzi gdzieś w jakiejś norze i wlewa benzynę do butelek. Myśli- cie, że akurat nas tam wpuszczał! Mogą nas połowić także; nie zna- cie tutejszych stosunków! Jaty o- trzymały broń i aż ręka ich świer- bi, żeby ją wypróbować! Trzeba czekać! Aleksander zresztą na pe- wno przyjdzie o drugiej w nocy; wcześniej nie wraca”.

Postanie inżynier zrobił mu w dużym trzykrotnym chłodnym po- koju. Przyniósł mu nieopolewzoną pierzynę. — W nocy trzeba się wy- grazać — mówił troskliwie. Przed snem podsunął Józefowi tabliczkę czekolady, zadając mu znów pyta- nia na temat życia w swobodnej części Warszawy. Inżynierowi wciąż zdawało się, „e czegoś nie wie o życiu po drugiej stronie, że po- siada ono jakieś tajemnice, na któ-

i zacinając się wprawdzie bardziej niż zwykle, powiedział to całkiem dorzecznie:

— Ten doktor sam powiedział, że ja nie mam głowy do nauki — od tego zaczął.

Wobec tego nie chce się więcej uczyć, ale chciałby zostać w Zakładzie i pomagać woźnemu. Prócz tego wymyślił już, co mógłby robić w przyszłości: zostanie rybakiem, do tego nie potrzeba mądrości...

— Ale to jest niemożliwe — przerwała twardo kierowniczka — nie możesz tu być nie ucząc się. Ja jestem za to odpowiedzialna przed Państwem. Widzisz Norbert, to jest tak: ministerstwo daje pieniądze na twoje utrzymanie i na twoją naukę i chce, żebyś się uczył. Jeśli się nie uczysz, to tak, jakbyśmy i ja i ty brali pieniądze za darmo. Więć powieć jak ma być.

— A jak ja nie chcę...

— Nikt cię nie będzie zmuszał, powiedz, a ja cię za tydzień odeślę do Warszawy, do ministerstwa. Pójdziesz do jakiegoś innego zakła- du — zamyśliła się, poglaskała fo- tografię i postawiła na biurku, le- ciutko stukając obłokiem po blacie. Norbert nie sadził, że jest wzru- szona, w jakikolwiek sposób do- tknięta tak bliską możliwością roz- stania i dalszej jego tułaczki, o któ- rej myśli go przeraziła.

— Pójdziesz do ministerstwa, ani cię oddadzą do jakiegoś specjalna- go zakładu...

Słowo „specjalnego” przypomnia- ło Norbertowi to wszystko, co go wzburzało, zbuntowało i wypędzało stąd.

— Jakiego specjalnego? — spy- tał podejrzliwie. Może rzeczywiście lepiej wyjechać z Gastyni? Jeżeli powiedzieli, że on, Norbert, jest głupi, a tu znowu grozą zakładem specjalnym, to znaczy „dla głu- pich”...

— Dlatego, że nie chcesz się u- czyć. W domach dziecka i we wszystkich zakładach wychowaw- czych dzieci się uczą, trzeba będzie dla ciebie znaleźć inny, taki bez nauki. Nie wiem, czy się znajdzie...

rych się posilźnie. — Wiecie, co mówią tutaj Niemcy tym, z który- mi rolą: interesy: „Bruderlein, trzeba więc: stad! Fretko wiazi!”

Józef długo nie mógł zasnąć. Podciągnął zaciemnienie, które za- wsze go dusiło, ale i to nie pomo- gło. Czynił sobie wyrzuty, że cze- goś zaniedbał, nie dopilnował, że stało się coś niedobrego.

6.

Gdy nazajutrz — niewyspany i zmęczony — obudził się, uderzyła go cisza pokoju. Taka sama cisza panowała na ulicy. Po chwili stuk podkutek butów ściągnął go do okna. Żołnierze w hełmach, w peł- nym uzbrojeniu szli środkiem jezd- ni; wyglądali jak oddział sprowa- dzony do walki. „Zaczęło się” — pomyślał. Gdy potem wbiegł do po- koju inżyniera, ten nie zwrócił nań uwagi zatopiony w rozmowie z nieznanym człowiekiem, drob- nym, suchym, łysawym o mongol- skich rysach twarzy i przenikli- wych oczach. Przeglądając się Jo- zefowi bez żadnego warzenia, nie- znajomy ciągnął swe opowiadanie:

— A Jakub co? — spytał inży- nier.

— Zabrania kategorycznie, po- wiada, że to pewna śmierć Musieli zdjąć czujkę; na tamtym podwo- ru już są w tej chwili Niemcy.

Inżynier Śpiewak ze swymi ludź- mi przygotowali „na wszelki wypa- dek” podkop pod jezdnię na drugą stronę. Wyłot tego „rzekupio mies- cił się w piwnicy po „aryjskiej” stronie, w domu, który w tej chwili obstawili już Niemcy.

— Wygląda na to, że będą stam- tąd ewakuować mieszkańców — rzekł obcy.

W ciągu nocy spod murów zdje- to ranatowych i zastąpiono ich żandarmami, to była wiadomość najbardziej złowroźna. Żandarmi od razu strzelali do wszystkich, którzy zbliżali się tylko do murów. Ruch placówkarzy ustał zupełnie. W nocy Niemcy zarządził zbiórke „Służby Porządkowej” do bliżej nieokreślonej akcji. Policjanci tym razem odmówili udziału. W dwie godziny później SS-mani przyje- chali na samochodach i rozwalili tych, którzy w porę nie zdążyli się pochować. Podobno w innych czę-ściach dzielnicy już się zaczęły walki i tylko patrzeć, jak się przerzu- cą dalej.

Stanawszy przy oknie Józef starał się zebrać myśli. Na jedni- znów ukazała się grupka żołnierzy. Józef przeglądał się maszerującym żołnierzom; uderzenia podkutek butów o kocie łyby dochodziły po- przez szybę. N.m zdążył się zorien- tować co się stało, wszystko woko- ło zatrzęsło się, wśród huków i bly- sków zobaczył przyskakujących na wszystkie strony żołnierzy. Zro- zumiał, że obrzucono ich granata- mi, „i to najpewniej z naszego do- mu”. Inżynier Śpiewak i jego to- wa ysze rzucili się do drzwi; Jo- zef pobiegł za nimi.

Gdy w jakiś czas później wyszł przed dom, na brzegu chodnika o kilka zaledwie kroków od tramy zobaczył człowieka leżącego twa- rzą do ziemi. Józef nie mógł oder- wać oczu od jego krótkich kracia- stych spodni i drobnej stopy obu- tej w popękany, żółty trzewik. O- bok zabitego leżała przewrócona blaszana skrzynka używana do przechowywania filmów. Skrzynia i płyty chodnika były popryskane krwią. Zabitym był Aleksander Topaz.

Adolf Rudnicki

(Fragment większej całości)

Kierownicze zabrakło tchu po tym wyjaśnieniu. Stanela jak wryta i nagle zachciało jej się śmiać:

— Jakże? chciałeś to wręczyć le- karzowi?

O nie, taki głupi Norbert nie jest. Owszem, zdaje sobie sprawę, że ta suma jest za mała. Ale po paru dniach uzbierałby więcej. I wtedy doktor na pewno inaczej by go przy- jął. Od razu by zrobił operację. Oho, Norbert był w szpitalu i zna doktorów... Kierowniczka nie miała czasu wiele wyjaśniać, bo już wcho- dzili we „rzwi poczekalni. Zdobyła na parę zdań pedagogicznych i szczerze oburzonych. Norbert słu- chał jej sceptycznie, bez przekonania, kiwając głową i śledząc wzór na dywanie, którym miękko i eleganc- ko wyłożona była poczekalnia. W rękach zaciskał użebrane drobnia- ki, ponieważ znał życie, zbyt do- bre znał życie i w nic dobrego nie wierzył na słowo.

No i kto miał rację? Natychmiast wyszło na jaw doświadczenie Nor- berta, ponieważ doktor istotnie nie chciał operować. Zalecił masaż, gimnastykę nogi, owijanie i ciepłe kiele. O tym wszystkim rozma- wiał z panią w bardzo uczony spo- sób. Pani zapisywała wszystko do- kładnie na kartce, a Norbert ze zło- ścił zaciskał wargi, ponieważ zawsze wierzył, że łątniewie jakaś operacja, cudowna i niezawodna. Nie miał wprawdzie pojęcia, na czym by ten cud miał polegać. Wyobrażał go so- bie w ten mniej więcej sposób, że człowieka usiąp głęboko i w czasie snu odetną złą, zbyt krótką i nie- ruchomą nogę, a przyszyja inną, silną, zdrową, sposobną zarówno do marszów, jak i do grania w pił- kę nożną. Samej operacji, zdaniem Norberta, mimo snu, mogą i powin- ny towarzyszyć okropne, rozdziera- jące bóle — nie wyobrażał sobie bowiem, aby na świecie, który był dla niego od urodzenia miejscem udręki, mogło cokolwiek obyć się bez bólu. Godził się jednak na to. Zresztą owa wymarzona operację uważał z góry za rzecz niemożliwa

i dla siebie zgola niedostępną, po- nieważ wiedział, że takie cuda istnieją tylko dla bogatych. O przeło- mie, który dokonał się i dokonywa na świecie i naokoło niego miał pojęcie mętne, nie łączył wielkich przemian, o których nawet wiedział, że swoim losem, bowiem od chwili wyzwolenia — to jest od dwu lat, tak jak i pierwiej utrzymywał się z żebranią. A w tej chwili jego pesymistyczny pogląd na życie zo- stał potwierdzony: doktor nie chciał operować! Norbert uznał się wobec tego za sromotnie oszukanego, wy- wiedzionego w pole nawet przez kierowniczkę. Na nią jakoś nie mógł się gniewać, natomiast na le- karza patrzył pod koniec wizyty z jawną nienawiścią, potykając łyzy.

Professor nie zwracał na niego u- wagi, gdy go już wypytał dokładnie o historię choroby, o której, prawdę mówiąc, Norbert sam niedużo wie- diał. Bo to było w czasie wojny, u bauera Krippsa. Owszem, zawię- ła go do miasta do szpitala, to Nor- bert pamięta. Pamięta przede wszystkim, jak zakładali konie do wozu, a on, chociaż głowa rozpa- lona i boląca kolebała mu się na wszystkie strony, cieszył się przy- dając, jak potem biegną za wozem, a Kripps odpędał je batem. Potem wspomnienia się rwały. Norbert wiedział, że był szpital, ale nie miał pojęcia — krótko czy długo i jak mianowicie długo? Leżał na jakimś korytarzu, a potem znalazł się zno- wu, na wsi, nie pamiętał jednak, po- wrotu. Nie, nie pamiętał nie z tego o co pytał ten nowy doktor, nawet tego, ile miał lat wtedy gdy za- chorował. Ze ta jego dawna choro- ba nazywała się Heine-Medina Jo- wiedział się znacznie później, od doktora w Porotowie Opiekunich. Zresztą już go nic nie obchodziły profesorskie pytania, ani profesors- kie rady od chwili, gdy zrozumiał, że i tak nie będzie operowany. Pro- fesor tymczasem wypieinał kartę choroby i podnosząc na kierownic- kę oczy wypukłe i błyszczące, niby

burezynowe, mądre szkiełka, py- tał:

— T-tak, a inne pozostałości? Z nauką pewno ciężko, trudności, co?

Nawet uśmiechnął się do Norber- ta i jemu także powtórzył to pyta- nie:

— Jak tam z nauką, zuchu? Cięż- ko, co? Nie idzie do głowy?

I znów do kierowniczki, ponad głową Norberta, głośno i tylko tro- che lekceważaco, bez złych zamia- rów:

— Pewnie niedorozwinięty, co?

Wtedy, nim kierowniczka zdążyła odpowiedzieć, albo chociaż krzyk- nąć, chociaż słowem się odezwać, spojrzeć, jakoś przeszkodzić, Nor- bert ze swoją wygniecioną w czasie żebranią czapką w rękę stał we drzwiach, otwartych na lśniący po- ważną bielą korytarz. Drzwi otwarł na oścież, z hałasem, od którego odwykły te mury i krzyczał zace- nie, po ulicznemu, ordynarnie, ale ze łzami w głosie:

— Co pan mi tu będzie od wa- riatów!... Ty stary idioto!

To były jego ostatnie słowa. Kie- rowniczka pobiegła za nim, ale przepadł, nie mogła go dogonić, choć przecież był o kuli. Poważny profes- sor został sam w gabinecie i prze- mierzając go wielkimi krokami, z po- czątku ze złością, a potem jak czło- wiek, który coś bardzo poważnie rozpamiętuje.

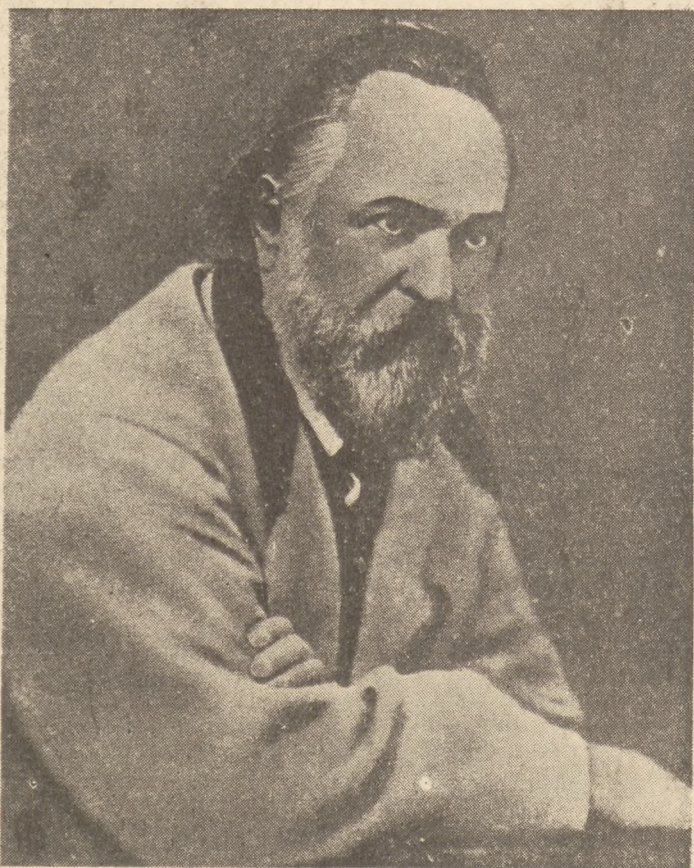
A jednak Norbert wrócił! Tak jest, wrócił do Zakładu następnego dnia, nie wiadomo jak. Nic nie chciał mówić, równie zamknięty w sobie i bardziej jeszcze rozgoryczo- ny niż parę tygodni temu, kiedy go sprowadził. Przepadło jego marze- nie o operacji! Nie mógł tego doro- wać — jednak wrócił. Miał nieja- sne i nowe poczucie, że to jest jego dom. Trochę myślał o tym, że pani martwi się o niego, jak się martwi- ła o Helenę, trochę o tym, że ta sy- plalnia bez niego na pewno wyglą- da jak chlew. I kto też zapędał malców do snu? Przyniósł im z wó- częgi czekoladowe pierniczki, takie, jakie sprzedają w bufetach dwor-

Ludwika Woźniaka

(dokończenie w najbliższym nrze)

LEONARD BORKOWICZ

O Aleksandrze Hercenie



Aleksander Hercen

stepnie do Petersburga, wzbogaceni wiedzą o życiu rosyjskim, umocnieni w przekonaniu o konieczności nieublaganej walki z caratem.

EMIGRACJA

Kiedy skończyło się zesłanie Hercena, marzył o tym, żeby „wyjechać, wyjechać, daleko i na długo, koniecznie wyjechać”. Ale wyjechać nie było łatwo. Nogi miał spępane powrotem nadzoru policyjnego i bez zgody cara nie mógł otrzymać paszportu zagranicznego. Dopiero po długich staraniach udało mu się otrzymać paszport i w styczniu 1847 r. wyjechał za granicę.

Na emigracji rozegrał się dramat duchowy Hercena, który zdecydował o dalszym jego życiu. Gwałtowne rozczarowanie, jakie Hercen przeżył konfrontując swoje poglądy z zachodnio-europejską rzeczywistością, zbiegło się z tragedią osobistą: jesienią 1851 r. matka i syn Hercena utonęli w czasie katastrofy okrętowej na Morzu Śródziemnym, a w maju 1852 r. umarła żona Natalia.

Hercen przyjechał na Zachód z wyidealizowanym obrazem panującym tam stosunków. Spodziewał się, że zobaczy świat urządzony według zasad Wolta'ra, Pousseau i Diderota i nie rozumiał, że ich „królestwo rozumu” było po prostu tylko wyidealizowanym królestwem burżuazji, że wieczna sprawiedliwość znalazła swe urzędystyczne w burżuazyjnym sądownictwie; że równość sprowadziła się do burżuazyjnej równości przed prawem; że jako jedno z najistotniejszych praw człowieka proklamowano burżuazyjną własność; i że państwo rozumu „umowa społeczna” Rousseau weszła w życie i mogła wejść w życie tylko jako burżuazyjna republika demokratyczna” (K. Marks, Dzieła wybrane, tom I, str. 209).

Z zabójczym sarkazmem mówi Hercen o tej rzeczywistości, z rozpaczą stwierdza, że surowa powaga protestantów, dumna niezależność Anglików, zbytkowne życie artystów włoskich, iskryczy się umysł ewangelików, i energia jakobińskich terrorystów — słowem to wszystko, co w jego pojęciu składało się na obraz Europy zachodniej — że wszystko to przetrębiło się i przeistoczyło w całokształt zwycięzcy kapitalizmu.

Revolucja 1848 r. jeszcze bardziej pogłębiła rozczarowanie. Zmiałt zwycięstwa socjalizmu — triumf znieprawionego mieszczaństwa i jego ulubieńca — Ludwika Bonaparte. Hercen nie widzi wyjścia z tego ślepego zaułka, ogarnia go rozpacz i niewiara w możliwość zwycięstwa. „Dramat duchowy Hercena (w tym czasie — przyp. red.) był wytworem i odbiciem owej doniosłej w dziejach świata epki, kiedy „rewolucyjność” demokracji burżuazyjnej już umierała (w Europie), natomiast rewolucyjność proletariatu socjalistycznego już się z c z e nie dojrzała” (Lenin).

Natomiast rozważał się Hercenowski sceptycyzm, który jak mówił Lenin był dla Hercena „formą przejścia od złudzeń „ponadklasowego”, burżuazyjnego demokratyzmu, do surowej, nieprzejednanej, niepokonalnej walki klasowej proletariatu”.

Ala zanim Hercen doszedł do „świata robotniczego” uosobionego w założonej przez Marksa Międzynarodowej, podjął on jeszcze próbę uzasadnienia samodzielnego i przeciwstawnego do Zachodu rozwoju Rosji.

„ROSYJSKI SOCJALIZM”

Hercen nie rozumiał, że Rosja stoi w przededniu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Wydawało mu się, że przetrwał jakiegoś chłop rosyjski w oparciu o gminne władanie ziemią, że uwłaszczenie chłopów oznaczać będzie wprowadzenie socjalizmu. „W rzeczywistości — mówi Lenin — w owej nauce Hercena, zarówno jak i w całym narodnictwie rosyjskim, nie ma ani o d r o b i n y socjalizmu. Jest to taki sam frazes pięknotuchowy, takie same szlachetne marzenie — powłoka rewolucyjności burżuazyjnej demokracji chłopskiej w Rosji, jak i rozmaite formy „socjalizmu roku 1848” na Zachodzie. Im więcej gruntu otrzymali chłopci w roku 1861, im taniej by go dostali, tym mocniej byłaby podważona władza obszarników-feudalów, tym szybciej, swobodniej i szerzej pocięłyby się rozwój kapitalizmu w Rosji. Idea „prawa do ziemi” i „wyrównawczego” podziału gruntów” jest jedynie sformulowaniem rewolucyjnych dążeń do równości ze strony chłopów, walczących o całkowite obalenie władzy obszarników, o zupełne zniesienie obszarniczej własności ziemskiej”.

Wbrew temu, co o tym sądził Hercen, jego „rosyjski socjalizm” był wyrazem dążeń rewolucyjnego chłopstwa w walce z feudalizmem. W warunkach kiedy rozwój Rosji szedł wyraźnie w kierunku kapitalizmu, burżuazja nie była siłą rewolucyjną, a jedyną siłą zdolną do przeprowadzenia rewolucji antyfeudalnej wobec braku proletariatu było chłopstwo. „Rosyjski socjalizm” był rewolucyjno-demokratyczną teorią, orężem walki z caratem i ustrojem pańszczyźnianym.

Tak więc błędnie nawet na manowcach myśli społecznej Hercen pozostaje w zgodzie z potrzebami rewolucyjnych przeobrażeń.

WOLNE SŁOWO ROSYJSKIE

Lenin mówi, że „Hercen pierwszy wśród wielkich szandar walki, zwracając się do mas z wolnym słowem rosyjskim”. W 1853 r. Hercen stworzył „wolną drukarnię rosyjską” w Londynie, w której wydał szereg swoich znakomych prac. Drukarnia ta powstała przy bezpośrednim i

najczynniejszym udziale Stanisława Worcella i innych polskich rewolucyjnych emigrantów. Hercen opowiada o tym w „Rzeczach minionych i rozmyślniach” (fragment ten, nieco zmieniony, był drukowany w warszawskiej „Prawdzie” w 1907 r. w nr 43): „Zakomunikowałem Worcellowi moją myśl: trzeba było widzieć radość, sympatię, przyjaźń z jaką mnie słuchał — i on, przedstawiciel polskiej demokracji pomógł mi w sposób najbardziej aktywny przy organizowaniu trybunu wolnego słowa rosyjskiego. Dobry, szlachetny przyjaciel! Jak teraz go widzę, z wyidealizowaną twarzą i siwymi włosami, głosem złamanym przez chorobę, ale spojrzeniem, w którym gorzał rozum i energia, kiedy trzymając w ręku pierwszą stronicę wydrukowaną w Londynie mówił mi:

— Mój Boże, mój Boże — wolna drukarnia rosyjska w Londynie! Ileż tych wspomnień ściera ten kawałek papieru, zamazany farbą drukarską!

Potem ścisnął mi ręce i powtarzał: — Myśmy powinni iść razem, mawiać wspólny cel i tych samych wrogów!”

Hercen przystępuje do wydawania „Gwiazdy Polarnej”, a następnie „Kołkoła”. Gazeta ta rozchodziła się po całej Rosji i miała niebywały wpływ. W znanym liście do Hercena B. N. Cziczewin pisał z wściekłością: „Jesteście siła, jesteście władzą w państwie rosyjskim”.

W jednym z listów do Hercena Turgeniew przytacza ciekawy wypadek, który świadczy o sile jaką „Kółko” reprezentował w Rosji. „W Moskwie postanowiono posyłać aktorów i odebrać im ich własne pieniądze. Aktorzy wstąpił swego delegata, starszka Szczepkina, aby szukał sprawiedliwości u Gubernatora. „Ten oczywiście nawet słuchać nie chciał. „W takim razie — powiada Szczepkin — będę zmuszony poskarżyć się ministrowi”. „Niech się pan nie baży”. „Wobec tego — odpowiadał Szczepkin — nie pozostaje mi nic innego jak odwołać się do „Kółka”. Gubernator uniósł się, ale skończyło się na tym, że zwrócił aktorom pieniądze. Oto, bracie, jakie kawały robił „Kółko”.

„Kółko” stał się potężnym czynnikiem rozpowszechnienia w Rosji idei rewolucyjno-demokratycznej. Przy wszystkich wahanach w stronę liberalizmu jakim ulegał Hercen zasadnicza linia jego pracy pokrywała się z dążeniami Czernyszewskiego i Dobrolubowa, którzy w samej Rosji wysoko podnieśli sztandar walki z caratem i ustrojem pańszczyźnianym.

PRZYJACIEL POLSKI

Do najpiękniejszych kart historii „Kółka” należy jego nieustraszona walka w obronie powstania 1863 r. w imię niepodległości Polski. O tym rozdziale życia Hercena Lenin pisał: „Kiedy cała zgraja liberalów rosyjskich odsunęła się od Hercena za jego obronę Polski, kiedy całe „społeczeństwo oświecone” odwróciło się od „Kółka”, Hercen nie wytracił to do równowagi. Bronił on w dalszym ciągu wolności Polski i chłostał pogromców, kałów i ślepaczy Aleksandra II. Hercen ocalił honor demokracji rosyjskiej”.

Sprawę polską ujął Hercen niesłychanie głęboko. Wyzwolenie Polski było dla Hercena niezbędnym warunkiem wyzwolenia Rosji z jarzma caratu. „Dlatego nie mamy żyć z Polską, Ukrainą, Finlandią, jak wolni z wolnymi, jak równi z równymi? Dlaczego mamy wszystko zgarniać dla siebie w niewolę pańszczyźnianą?” — pisał Hercen w „Kółku”. I dalej: „My jesteśmy z Polską, bo jesteśmy za Rosją. Jesteśmy po stronie Polaków, gdyż jesteśmy Rosjanami. Chcemy niepodległości Rosji, gdyż chcemy wolności Rosji. Jesteśmy z Polakami — gdyż jeden skruka nas łańcuch”.

Dla Hercena sprawa polska była ważna przede wszystkim z punktu widzenia perspektywy rozwoju demokracji w Rosji i w Polsce. Podobnie jak istnieją dwie Rosje: jedna — Murawiewów, który wieszają, i druga — Murawiewów, których wieszają, tak i w narodzie polskim Hercen wyraźnie odróżnia zaborców arystokratę feudalną i obóz polskięgo postępu. Wysiłki Hercena idą właśnie w tym kierunku, ażeby temu obowowi pomóc w zwycięstwie.

*

W ogromnej spuściźnie literackiej Hercena „Rzeczy minionie i rozmyślnia” zajmują odrębne miejsce. Zarówno pod względem literackim jak i publicystycznym jest to niewątpliwie szczytowe osiągnięcie Hercena, a jednocześnie dzieło, któremu mało co w literaturze światowej może pod tym względem dorównać.

I jeszcze jedno: ten wielki demokrat i humanista czuł odpowiedzialność za to co pisze. Każde jego słowo technie szczerością i prawdą mówności. A pisał przecież o sobie... Czytając „Rzeczy minionie i rozmyślnia” czujemy się wciągnięci w światły krag pionierów ludzkiego postępu, którzy w najtrudniejszych czasach nieustraszenie przygotowywali jego dzisiejszy triumf.

„Ślawiać Hercena — pisze Lenin — uczy się proletariatu na jego przykładzie, jak wielkie znaczenie posiada teoria rewolucyjna; uczy się rozumieć, że bezgraniczne oddanie rewolucji i zwrócenie się do ludu z propagandą rewolucyjną nie przeпадnie wówczas nawet gdy całe dziesięciolecie oddzielał posiew od żniwa...”.

Leonard Borkowicz

Z życia Z.L.P.

PARTYJNA KRYTYKA PRACY ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO ZLP

Na III Wojewódzkiej Konferencji Partijnej w Krakowie z poważną krytyką spoglądała się organizacja partyjna Oddziału ZLP. Wysiunęła na konferencji postulaty zeznawanie na zebranie Związku Literatów, na którym literaci krakowscy zrewidowali samokrytycznie swoją dotychczasową postawę i będy w pracy oddziału, oraz omówili wypływające z III konferencji wnioski.

„Gazeta Krakowska” opublikowała dwie zasadnicze wypowiedzi z dyskusji na III konferencji owarzyszy: „Nowa Mostowiczka i Henryka Markiewicza.

Mostowicz stwierdza, że KW dotychczas nie zajęło się pracą organizacyjną partyjnych związków twórczych, nie zapewniło im należytego kierownictwa i opieki ze swej strony. Mostowicz w ten sposób formułuje główny zarzut pod adresem literatów krakowskich: „...udział naszych krakowskich literatów i krakowskich artystów w podnoszeniu poziomu kulturalnego i ideologicznego, w kształtowaniu smaku estetycznego, modniowaniu ludzi pracy — jest niedostateczny”. Przyczyną tego stanu rzeczy kwia w trzech zasadniczych obszarach pracy ideologicznej organizacji partyjnej ZLP w Krakowie. Brak szczerze, surowej krytyki i samokrytyki członków Związku, oceny ich postawy ideologicznej. Brak ostrożnej aktywności organizacji partyjnej w pracy nad podniesieniem poziomu ideologicznego partyjnych i bezpartyjnych członków Oddziału ZLP. Mostowicz stwierdza, że na terenie Związku pojawiły się obce ideologiczne rappersko-sekularne wypowiedzi, i to formułowane przez członków partii. Dlatego konieczne jest podniesienie na właściwy poziom i prowadzenie systematycznej dyskusji na sekcjach, tak, aby umożliwowały one pisarzy, podnosili ich świadomość ideową, wpływały na bezpartyjnych. Wielkim będem jest brak powiązania pisarzy z terenem. Przykładem tego może być fakt, że tylko jeden pisarz (miejscowy) związał się na stałe z problematyką przebudowy wsi, że żaden dołąd pisarz nie związał się na stałe z wielkimi obiektami szeszołalki, z Nową Hutą wzięcie.

Je podstawowe będy są powodem małej aktywności pisarskiej ośrodka krakowskiego, biednych koncepcji burżuazyjnych i formalistycznych, nartujących twórczość niektórych pisarzy, niedostatków tematyki współczesnej, braku odbicia współczesności. Przeważa jednak i jest warunkiem kroku naprzód ku realizmowi socjalistycznemu.

Tow. Markiewicz, jako członek egzekutywy organizacji partyjnej ZLP, przyjął w ogólnej linii zarzuty tow. Mostowicza uwzględniając się do nich samokrytycznie, polecił jednak z pewnymi uproszczeniami i przekształceniami w jego wystąpieniu. Markiewicz stwierdza, że pewne sformułowania przemówienia tow. Mostowicza mogą sugerować wniosek o „zastąpiu twórczym i rozkładzie ideowym” środowiska krakowskiego, co w stosunku do chwili obecnej jest już nieustanne. Rok 1952 przyniósł ożywienie twórcze, rosnąca

WROCLAWSKIE CZWARTKI LITERACKIE

Najbardziej właściwy, choć bynajmniej niepełny, przegląd zjawisk literackich dają wrocławskie czwartki literackie. W tym tygodniu jednak z perspektywy autorskiej, na których omawiana jest twórczość występujących pisarzy. Czwartki mają swoją bogatą tradycję. Od pierwszego wieczoru w lutym 1946 roku — do ostatnich czwartków 53 roku — przewodziło się obok pisarzy wrocławskich wielu oświatowców i literatów polski. W wieczorach brali udział: Maria Dąbrowska, Władysław Broniewski, Anna Kowalska, Wojciech Zukrowski, K. I. Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Julian Strzykowski, Marian Promiński i inni.

W czasie pierwszych trzech miesięcy b. roku oprócz występów Juliana Strzykowskiego, Kazimierza Kozłowskiego, W. Zukrowskiego i H. Voglera mieliśmy również wieczory, poświęcone najnowszej twórczości wrocławskich pisarzy, jak: Kamila Głazyckiego, Tadeusza Zelenyja, Jana Pierzchały, E. Szumaniskiej, St. Łosia, Romualda Cabaja oraz członków Koła Młodych — Barona, Białowąsa, Kwapińskiego i Smolaka.

Na jednym z wieczorów odczytany został przez artystów Teatru Młodego Widza pierwszy akt sztuki T. Zelenyja i W. Zdanowicza pt. „Sprawa o przewisko”. Jest to sceniczna adaptacja noweli Gogola, „O tym, jak się Iwan Iwanowicz walczył z kłopotami i pokłócił”, której premiera odbyła się niedawno w Teatrze Młodego Widza. Adaptacja pomysłu, uwypuklająca satyryczną ostrość noweli Gogola, ciekawa i udana.

Dyskusja nad wydaną w ub. roku przez „Czytelnicę” książkę Jana Pierzchały „Dziwaczyna”, poprzedzona została słowem wstępnym autora, który przedstawił w zasadniczych rysach genezę swojej powieści — dyskusja podkreślała zarówno zalety książki — proste i zwięzłe językowe śmiałość podjęcia tematu przełomowego w naszym życiu, okresu zniekształcenia ruchu robotniczego — jak i wady i niedociągnięcia — skrótość, uproszczenia przedstawionych zjawisk, brak w zarysowa-

PLENUM ZG ZLP

W dniu 28 maja br. odbyło się w Warszawie plenarne zebranie Zarządu Głównego ZLP.

Głównym tematem obrad były plany pracy twórczej pisarzy w związku z

DYSKUSJA O „NOWEJ KULTURZE”

Wielkie zainteresowanie wywołała zorganizowana przez Zarząd Oddziału Warszawskiego ZLP i łączna z Komisją Krytyki — dyskusja o „Nowej Kulturze”, która odbyła się dn. 29 maja. Świadczą o tym liczny udział w dyskusji literatów, dziennikarzy i działaczy kulturalnych, oraz fakt, że dyskusja trwała niemal cały dzień.

Referaty, które stanowiły wstęp do

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA ZLP

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że najbliższe zebrania sekcji twórczych odbędą się:

dnia 8 czerwca br. we wtorek, o godz. 16-jej sekcja prozy, Temat: Omówienie

książki J. Bocheńskiego „Zgodnie z prawem”. Ref. kol. Drewnowski.

dnia 11 czerwca br. we czwartek, o godz. 16-jej sekcja powieści, Temat: Zagadnienie dramatu i satyry. Temat: Zagadnienie dramatyzacji satyrycznej. Ref. kol. Pański.

NOWOŚCI POETYCKIE

Jan Baranowicz MUZYKA ŚWIERZĄCZY Str. 60	zł 4.—	Str. 80	zł 5.—
Jerzy Braun MEŁODOSZ Str. 72	zł 5.—	Str. 82	zł 5.—
Henryk Gaworski RYTM SERCA Str. 76	zł 3.—	Str. 56	zł 1.60
Stefan Gołębiowski TRUD Str. 72	zł 2.—	Str. 68	zł 2.80
Paweł Hertz NOWY LIRNIK MAZOWIECKI Str. 28	zł 3.—	Str. 172	zł 10.—
Antoni Marjanowicz NA UDEPTANEJ ZIEMI (Biblioteka Satyry) Ilustr. Z. Lengren Str. 80	zł 5.—	Str. 56	zł 2.—
Jerzy Litwiniuk DŁON ALBO PIĘŚĆ Str. 80	zł 5.—	Str. 82	zł 5.—
Andrzej Mandallan SŁOWA NA CODZIEŃ Str. 82	zł 5.—	Str. 56	zł 1.60
Tadeusz Nowak UCZĘ SIĘ MOWIC Str. 56	zł 1.60	Str. 68	zł 2.80
Jan Spławak DOSWIADCZENIA Str. 68	zł 2.80	Str. 172	zł 10.—
Marian Załucki PRZEJAZD WIERZEM (Biblioteka Satyry) Ilustr. Z. Lengren Str. 172	zł 10.—	Str. 56	zł 2.—
Stefan Zawadzki CENA WOLNOŚCI Str. 56	zł 2.—		

S to lat przeszło, zanim jedno z największych dzieł literatury światowej zostało udostępnione polskiemu czytelnikowi. W 1852 roku rozpoczął Aleksander Hercen druk swoich „Rzeczy minionych i rozmyślnia”, tłumaczonej oddat na wiele języków nieznanych w Polsce. Obecnie leży przed nami trzy pierwsze tomy tego znakomitego dzieła.”

Hercen napisał epopeję, artystyczną kronikę swego życia, harmonijnie splecioną z dziejami życia społecznego i walki rewolucyjnej Rosji i Europy zachodniej XIX stulecia. Wielki artysta słowa pozwolił Hercenowi przedstawić wstrząsający swą prawdziwością obraz pańszczyźnianej Rosji, przepojony nienawiścią do syty i obojętnej burżuazji wizerunek Europy zachodniej, a na tym tle własną ewolucję intelektualną i uczuciową.

Lenin pisał: „Hercen należał do pokolenia szlacheckich, obszarnczych rewolucjonistów pierwszej połowy zeszłego wieku. Szlachta dała Rosji Bironów i Arakcejewów, niezliczoną ilość „pijanych oficerów, zabójców, karciarzy, bohaterów jarmarcznych, psiarzy, rebotajów, chłostaczy, władców serajów” oraz „pięknychdów-Maniłowów”. „I oto wśród nich — że użyjemy słów Hercena — kształtowali się ludzie 14 grudnia, falanga bohaterów, wykarmionych jak Romulus i Remus mlekiem dziękiego zwierza... To jacyś bohaterowie, wykuci z czystej stali od stóp do głów, bojownicy-ościarnicy, którzy szli świadomie na oczywistą zagładę, aby obudzić młode pokolenie do nowego życia i aby oczyścić dzieci, zrodzone w środowisku siepacstwa i służalczości”.

Kiedy rozegrała się grudniowa tragedia, Hercen miał 14 lat. W „Rzeczach minionych i rozmyślniach” tak pisze o wrażeniu, jakie na nim zrobiła kaźń powstańców: „Na Kremlu metropolita Filaret dziękował bogu za to morderstwo. Modliła się cała rodzina carska, obok niej senat i ministrowie, a dokoła na ogromnej przestrzeni kłęwały zwarte masy gwardii bez kasków i również modliły się; z wysokości Kremla grzmiały armaty...”

Jako chłopiec czternastoletni, zagubiony w tłumie, byłem obecny na tym nabożeństwie i tu, przed ołtarzem skalany krwawą modlitwą, poprzyściągłem sobie pomocą straconych i skazywałem siebie na walkę z tym tronem, z tym ołtarzem i z tymi armatami”.

W WALCE Z CARATEM

Mikołaj i nie mógł przetrwać głębokich konfliktów i sprzeczności, które rozdzieliły czyn dekabrystów. Nie mogło powstrzymać postępujące rozkładu ustroju pańszczyźnianego, którego ostoje pedważyły nowe siły społeczne.

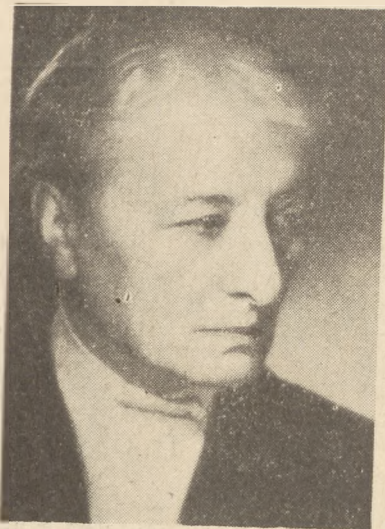
W latach czterdziestych wysoko podnosi się fala gniewu ludowego, obejmując nie tylko chłopstwo, ale i szerokie koła inteligencji szlacheckiej. Dziś jeszcze czytając „Rzeczy minionie i rozmyślnia” podziwiamy zarówno niezłomną wolę walki w rewolucjonistów z Biełińskim i Hercenem na czele jak i ich gorączkowe poszukiwania teoretyczne. Wobec klęski powstania dekabrystów kazala wrogom caratu szukać nowych dróg prowadzących do wyzwolenia Rosji. Hercen i jego najbliżsi szukają odpowiedzi na gniejące ich pytania w historii Rosji i Europy zachodniej, w filozofii i przyrodnicznym, w ekonomii politycznej i teoriach społecznych. Omawiając ten okres Lenin pisał: „W ciągu blisko pół wieku, mniej więcej od czwartego do dziewiątego lat dziesiątka ubiegłego stulecia, myśl postępowa w Rosji pod uciskiem niesłychanie bestialskiego i reakcyjnego caratu, chciała szukała słusznej teorii rewolucyjnej śledząc z podziwu godną gorliwością i starannością każdą „ostatnie słowo” Europy i Ameryki w tej dziedzinie”.

Wspomnienia Hercena stanowią wspaniałą ilustrację prawdziwości tych słów Lenina. Prądzieja inteligencja rosyjska nawiązywała do osiągnięć filozoficznych Łomonosowa

*) Aleksander Hercen „Rzeczy minionie i rozmyślnia”. Warszawa, „Książka i Wiedza”, tom I, 1951 rok, tom II i III 1952 r.

Hercen wraca do Moskwy, a na-

Nagrody Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci



Fot. Dorys

W związku z Międzynarodowym Dniem Dziecka przyznane zostały doroczne nagrody Prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży. Nagrody otrzymali: w dziale literatury — Janina Porazińska za całokształt twórczości w dziedzinie literatury dziecięcej, Ewa Szemberg-Zarembina za twórczość literacką dla dzieci i młodzieży.

Drogi Stefana Żeromskiego



Ułpna cisza nasycza błękitną przestrzeń pochyloną nad zagonami młodziutkich zbóż. Widać stąd rozległą dolinę, zamkniętą na horyzoncie szarymi pasmami gór. Na prawo, większy stożkowy maszy, okryty fioletowym cieniem. To góra św. Katarzyny.

Urzekające nas swą plastyką opisy miejsc, krajobrazów — nie zawsze są wyłącznie tworem wyobraźni autora, nie zawsze są jedynie pisarską kompozycją. Często — te opisy są właśnie wiernym topograficznym określeniem autentycznych miejscowości, które wryły się autorowi w pamięć, zapadły w serce. Przypomina je z powrotem na karty książek — miłość.

Tak stało się i z tym krajobrazem. Tam, opodal wsi Ciekoty, gdzie w świerkach na pochyłości ciemnieją ściany chłopskiej stodoły, wśród drobnych krzaków leży wielki głaz czerwonego granitu z wyritym napisem: „Tu żył w latach dzieciństwa i młodości Stefan Żeromski”.

I wystarczy przejść drogą wiodącą od tego kamienia, wystarczy iść tędy mając przed sobą trzepoczące na wietrze kartki „Syzyfowych prac” — by stwierdzić, jak wierny był obraz tych miejsc utrwalaony w pamięci i sercu pisarza.

„Zbocza gór wznosiły się stromo po prawej i lewej ręce, a wielkie ich garby niby kolana i stopy rosły w oczach, gdy się ku nim zbliżano...”

„Dolina była dość długa, a nie szeroka — w niektórych miejscach nawet tak wąska, że na dnie jej ledwo mogły zmieścić się obok siebie strumień i droga...”

„Nad wodą rosły zwarte olszyny i przysłaniały zakręty rzeczne. Gdzieś niedaleko stały kępami duże, smutne wierzyby o długich gałązkach i wąskich liściach...”

Tak — to ta sama droga. To te same wierzyby „o długich gałązkach i wąskich liściach”, ta sama ciemna rzeczka, te same góry zbliżające się do drogi.

Tą drogą wędrował kiedyś uczeń rządowego gimnazjum kieleckiego — Stefan Żeromski.

Tą drogą wędrowali na zarobek w „psenny kraj” bandosi, wśród żaru i oślepiającego blasku słonecznego, wydeptując jej ścieżki i koleiny stwardniałymi, poranionymi stopami.

I tą drogą szedł syn ratalja Andrzej Radek aż do szosy kieleckiej do tej — i dziś jeszcze trochę wyboistej, zakurzonej i białej szosy wiodącej ku miastu.

Dość niski, jednopiętrowy budynek w wąskiej uliczce, niedaleko dawnego pałacu biskupów, obecnie siedziby Wojewódzkiej Rady Narodowej — niedaleko parku miejskiego...

Głęboka cisza zalega pusty, długi korytarz. Panuje tu chłodny półrok, taki łagodny i miły, kiedy opuści się rozpalone uliczki zalane ostrym słonecznym blaskiem.

Jest to znajoma, szkolna cisza, jaka panuje na korytarzach już po dzwonku na lekcję. Cisza tego gmachu towarzyszyła Andrzejowi Radkowi, kiedy po usłyszeniu wyroku skazującego go na wydalenie z gimnazjum włókł się tym oto korytarzem — ku schodom.

„Było już po dzwonku. Korytarz górny i schody opustoszały. Z którejś klasy dał się słyszeć równy głos nauczyciela fizyki:

WSPOMNIENIA WIELKIEGO UCZONEGO

Ignacy Kraczkowski — „Nad arabskim rękopisem”. Kartki ze wspomnień o książkach i ludziach. Przełożył i opisał Janina Porazińska. Warszawa 1952. Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

Niejednemu czytelnikowi biogędo do ręki książkę, w której tytule jest mowa o „rękopisach arabskich” w pierwszej chwili odczuł ją z niechęcią. Kogo poza specjalistami chodzili do ręki rękopisy arabskie. Jeśli jednak ktoś nie zniechęcił się tytułem wzięcia się w tę nieprzeciętną książkę, to nie da się oderwać od tej lektury, będzie ją czytał jednym tchem. Książka „Nad arabskim rękopisem” nie jest bowiem żadną specjalną rozprawą, ale jest piękną piśmienną z rzadko spotykaną dziedziną — są to wspomnienia uczzonego z jego bogatej pracy badawczo-naukowej.

Autor wspomnień z prac nad rękopisami arabskimi, wielki radziecki uczonec, akademik Ignacy Kraczkowski (1883-1951) był jednym z najwybitniejszych specjalistów w swej dziedzinie. Wychowawcą wielkiej szkoły orientalistów rosyjskich XIX wieku, spadkobiercą szczytnych tradycji postępowego nurtu orientalistyki rosyjskiej, Kraczkowski nie był zamkniętym w czterech ścianach swego gabinetu badaczem. Widnokreśli nauki arabskiej rozszerzył wskazując na zapomniane postacie „heretyków”, to jest pisarzy, którzy krytykowali elasty dogmaty, radości i zawodu, wszystkie te zjawiska towarzyszące procesowi wielkiej pracy twórczej są tak niezwykle żywo i interesująco przedstawione w książce, że nawet najbardziej daleki od tych zainteresowań, czytelnik może dostrzec i zrozumieć Kraczkowskiego od deski do deski jak najpowszeźniejszego człowieka.

Książka Kraczkowskiego uczy poza tym sumiennemu, rzetelnemu stosunku do nauki, zamiłowania do prawdy i wiedzy, radości pracy twórczej, jednakowej dla tego „kto stoi nad rektorem w

laboratorium, jak i tego kto wyczuje się w linijki rękopisu leżącego przed nim na stole”. Ignacy Kraczkowski był wielkim uczonym — przez jego wspomnienia przesuwa się obrazy dokonanych przez niego doniosłych odkryć naukowych, sam zachowując jednak skromność i prostotę właściwą wielkim umysłom, przynajmniej się, jak trudno było mu dojść czasem do wyniku, z jakim zawisł na ścianie, na jakie opory natrafiał. Dalekim będać od zawisł, wysoko ceni koleżeństwu i szacunek dla cudzej pracy naukowej.

Przez książkę przewijają się także wspomnienia o ludziach, którzy tak czy inaczej byli związani z tą dziedziną nauki. Przed naszymi oczyma przemijają się cienie wielkich orientalistów rosyjskich, a nie brak i nazwisk polskich. Wspomniany jest m. in. towarzyszył Mickiewiczowi i Leleweli, potem wybitny orientalista „baron Brambous” Józef Sekowski, który naszym wieściom służył swymi radami i wiedzą pisy orientalistycznych „Wierszach, Iranista rodem z Warszawy „pan” (jak nazywano go w Rosji) Freiman, dziś cieszący się należytą sławą jako jeden z najwybitniejszych orientalistów ZSRR, nie wspomniany z nazwiska jeden z organizatorów naszej orientalistyki po pierwszej wojnie światowej Zygmunt Smogorzewski i inni. Autor znał dorobek polskiej orientalistyki, cenit go i interesował się nim do ostatnich chwil swego życia.

Książka wydana jest bardzo starannie, zaopatrzona we wszelkiego rodzaju potrzebne w takim wypadku przypiski i objaśnienia, wprowadzające mniej więcej zaorientowanego czytelnika w gąszcz rozróżnianych określeń, nazwisk, tytułów, których rozszyfrowanie mogłoby niezoorientowanemu czytelnikowi sprawić pewne trudności. Tymczasem i wydawca wnieśli utrzymali lekkie, potoczne styl książki.

Książki tego typu jak „Nad arabskim rękopisem” Kraczkowskiego — to jest wspomnienia uczzonego z doświadczeń swej pracy twórczej — spotykało się dotychczas raczej w dziedzinach nauk ścisłych, jak np. piękna książka

Jan Reyhman

hydź producentów i autorów filmu. W ten sposób usiłowano w Bonn unicestwić możliwość powstania filmu, który by niewątpliwie wpłynął na postawę młodzieży w zachodnich Niemczech wobec problemu reemigracji i poboru do nowego Wehrmachtu.

Spór o „Białą Różę” toczy się dalej. Jest on znamienny dla atmosfery jaka panuje w Bonn, gdzie trujące wyzwywanie neohitleryzmu odurzają coraz gwałtowniej: poczekników kliki Adenauera, wietrzających w wojennym klimacie nową szansę „odlucia się” za struty minionych czasów.

Ale w tym sporze o filmowe uczczenie pamięci antyfaszystowskich bohaterów nie bez znaczenia jest głos człowieka, który moją największą miłą do powiedzenia w tej sprawie. Głos ojca rodzeństwa Scholl, Roberta Scholla, który mieszka w Monachium Człowiek ten w dziesiąty rocznicę stracenia swoich dzieci, napisał pełen gorzkości list do redakcji „Süddeutsche Zeitung”, będący oskarżeniem tych wszystkich, którzy usiłują w ten czy inny sposób zgilotynować bohaterstwo „Białej Róży”, znieważając pamięć jej uczestników. W liście tym czytamy m. inn.:

„Kiedy 22 lutego stałem nad grobem moich dzieci, zadawałem sobie pytanie czy całe ich poświęcenie nie było na próżno... Gdy czytam nasze gazety wydaje mi się, że wszyscy już zapomnieli o tych, którzy zginęli w obronie człowieczeństwa...”

Dzisiaj Magda Goebbels i inne wielkości hitlerowskie są bardziej popularne aniżeli ci, którzy zmarli w okolicznych meczarniach za wolność narodu, w walce z jego ciemnocami. Byłoby więc to wszystko nadaremne?”

Tak pytał stary Scholl, skarżący się w liście do gazety, że 10-ta rocznica stracenia jego dzieci minęła bez echa w zachodnich Niemczech, niezauważona i zapomniana.

Na list ten nikt nie odpowiedział w Niemczech zachodnich, gdzie lwia część prasy finansowana jest ze składek Adenauera. Odpowiedział natomiast nadeszła z miasta, które leży w tej części Niemiec, gdzie ludność buduje pokojowe i demokratyczne zęby nowego państwa niemieckiego. List do staro Scholla nadeszedł z Weimaru, miasta Goethego i Schillera. Grupa weimarskiej FDJ, która nosi imię „Rodzeństwa Scholl”, odpowiedziała ojcu młodych bohaterów:

„Drogi panie Scholl! W Niemczech nie zapomnieliśmy bohaterstwa Hansa i Sophie... U nas, w Weimarze, mamy plac ich imienia, mamy grupę FDJ ich imienia, na naszym uniwersytecie istnieje akademickie kółko ich imienia. W rocznicę egzekucji Hansa i Sophie zbieramy się i składamy kwiaty pod tablicą na placu im. rodzeństwa Scholl... Nadejdzie dzień, że i w Monachium będzie taki plac. Przysięka to panu młodzieży z FDJ”.

Marian Podkowiński

Bogdan Ostromecki

ZACHÓD W NASZYCH OCZACH

Spór o „Białą Różę”

Dla postępującej naprzód faszyzacji życia kulturalnego zachodnich Niemiec niezwykle symptomatycznym objawem jest tocząca się obecnie walka o sformułowanie dziejów organizacji studenckiej w Monachium — „Białej Róży”, której założycielami było ródzeństwo, Hans i Sophie Scholl. Była to organizacja antyfaszystowska, prowadząca wśród niemieckiej młodzieży poważną akcję przeciwko Hitlerowi i wojnie.

Bunt studentów monachijskich był pierwszą akcją zespołową młodzieży, która w okresie wojny czynnie przeciwstawiała się Trzeciej Rzeszy i jej zbrodniom. W pierwszych latach jej istnienia „Biała Róża” kolportowała ulotki oraz listy fałszywe, krążące w odpisach po całym kraju. Gestapo wściekało się w swojej bezradności wobec sprawców. W jednej z tysięcy ulotek, jakie przechodziły znajdowały na ulicach, w parkach i kawiarniach Monachium, Freiburga, Karlsruhe, Wiednia i Mannheimu czytamy: „Nie jesteśmy agentami obcego mocarstwa, ale wypowiadamy nieubłaganą walkę tym, którzy pohańbili naród niemiecki”. W innej znajdujemy znamienne dla dzisiejszej sytuacji w zachodnich Niem-

zech, niemal prorocze słowa: „Dla Hitlera i jego zauszników nie ma takiej kary na świecie, która by odpowiadała ich zbrodniom. Musimy także pamiętać, że wielu hitlerowców może w ostatniej chwili zmieścić skórę, aby tym samym zatrzeć ślady... Do tego także nie powinniśmy dopuścić”.

Kiedy ulotki „Białej Róży” zaczęły docierać na linie frontu i młodzi żołnierze pisali o tym swoim rodzicom, gestapo podwoiło czujność. 18 lutego 1943 roku Hans i Sophie Scholl położyli paczkę ulotek w jednej z nisz auli uniwersyteckiej w Monachium. Zauważył to portier i zamknął wszystkie wyjścia. Po godzinie bohaterkie rodzeństwo było już w łapach katów Himmlera. Równocześnie aresztowano trzeciego kierownika organizacji, studenta Christoph'a Probst'a. Trójka ta nikogo nie wydała. „Sąd ludowy”, któremu przewodniczył osławiony „spdzia” Roland Freisler (który tysiącami najlepszych patriotów niemieckich wysłał na szafot) skazał Schollów i Probst'a na śmierć. Zamordowano ich 22 lutego 1943 roku w więzieniu Stadelheim, gdzie później życie zakończyli również inni członkowie „Białej Róży”, wśród nich profesorowie u-

niwersytetu w Monachium — Kurt Huber, Alexander Schmorell i Willi Graf.

Bohaterska postawa rodzeństwa Scholl zrodziła legendę o „Białej Róży”, która przetrwała Hitlera i wojnę. Kiedy więc narastająca fala neohitlerizmu zaczęła nawadniać wyschnięte łożyska niemieckiego faszyzmu, a wojenna literatura i szowinizm kulturalny w zachodnich Niemczech rigowały z witym książgarskim postępową literaturę, kiedy zniknęły książki nie tylko Anny Seghers czy Kellermanna, ale i Tomasa Manna, grupa patriotycznych pisarzy postanowiła zaprotestować przeciwko moralnej reemigracji swojego kraju. Postanowiono militarnym, kiczem filmowym przedstawienie film prawdziwie patriotyczny, sięgający do najlepszych tradycji ruchu oporu.

Oczywiście że historia rodzeństwa Scholl była świetnym tematem do takiego scenariusza. Powstała specjalna grupa, na czele której stanęli dwaj postępowi pisarze, uczestnicy ruchu antyhitlerowskiego — Axel Eggebracht i Gerhard Grindel. Eggebracht należał dawniej do redakcji tygodnika „Weltbuehne” i z Hitlera zesłany został do obozu. Grindel należał do grupy teatralnej Piscatora, pisał pieśni robotnicze i do 1944 pracował w obozie pracy przymusowej. Obaj ci pisarze opracowali scenariusz do filmu „Rodzeństwo Scholl”. Reżyserem tego filmu miał zostać Falk Harnack, również więzień obozu koncentra-

cijnego i brat Arvida Harnacka, powieszonego przez Himmlera przywódcy innej grupy antyhitlerowskiej — tzw. „Rote Kapelle”. Krytyka uznała scenariusz za dzieło literackie na wysokim poziomie moralnym. Znalazł się również producent, który postanowił film ten sfinansować. Wszystko było więc na najlepszej drodze.

Ale ci, którym film ten był niewygodnym dokumentem, wszyscy zakamuflowani hitlerowcy i poszukiwacze nowego „mięsa armatniego” z Bonn, poruszyli wszystkie możliwe sprężyny, aby stoperdować realizację „niebezpiecznego” scenariusza. Prasa adenauerska rozpoczęła nagonkę przeciwko filmowi, cynicznie motywując swoją sprzeczną rzekomo „małą wartość artystyczną scenariusza”, który przez to — „znieważa pamięć poległych studentów”...

Co więcej, zamaskowani hitlerowcy z Bonn, którzy w samej rzeczy uważają zamordowanych Schollów za zdrajców i odszczepieńców — jak mogliśmy czytać chociażby z eleboratu w „Deutsche Soldatenzeitung” — postarali się nawet wpłynąć na siostrę straconych, Inge Scholl, aby zaprotestowała w imieniu rodziny przeciwko „trywializowaniu bohaterstwa legendy”. Napuszczono rektora uniwersytetu w Monachium, aby zaproteściwał przeciwko „komercjalizacji pamięci antyfaszystowskich studentów”. Jednym słowem uczyniono wszystko co było możliwe, aby zo-

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32. I p. Telefon: 8-86-11 — Sekretariat, — Red. naczelny: 8-79-38 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 81 Wydaje RSW „Prasa” Kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60 kwartalnie zł 13 80 półrocznie zł 27 60 rocznie zł 53 20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisy niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wkiesłodrukowe RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5.

4-B-18269